Numer powiększony Cena 12 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 12 stycznia 1947 r. | Nr 2 (81)

Adam Polańczyk

EGZAMIN POLITYCZNY

Często (zwłaszcza u nas) zakłada się że polityka jest funkcją charakteru narodowego. Twierdzenie takie służy zazwyczaj jako podstawowy pewnik do budowania teorii mającej uzasadnić, że pewne sposoby zachowania się, pewne metody działania i myślenia są dla danego narodu typowe i że wszelkie zmiany w tym zakresie zniszczyłyby lub zniekształciły charakter danego narodu. Kryje się za takim stawianiem sprawy staroświecka psychologia zbiorowości, statyczna i ahistoryczna, o skłonnościach biologistycznych, szukająca przyczyn kształtowania się psychiki narodowej nie w procesach historycznych, ale w czynnikach przyrodniczych, jak klimat, ukształtowanie pionowe terenu, stan nawodnienia, zalesienia, urodzajność gleby i t. p.

Dziś rozumiemy już, że historia nie jest przypadkową gmatwaniną wydarzeń, za których jedyne źródło należy uważać ślepą grę przyrodzonych impulsów i bezpośrednie reakcje na zmiany zachodzące w naszym pozaludzkim otoczeniu. Historia jest w naszym rozumieniu dziełem człowieka, dziełem budowanym często pomacku, niedołężnie, z wielu błędami, ale mimo to czymś niesprowadzalnym nigdy w zupełności do biernego kształtowania się bezwolnej masy pod wpływami czysto przyrodniczymi.

Kwestią najważniejszą jest, by udział naszej świadomości w kształtowaniu się losów większych zespołów ludzkich stale wzrastał, by jak najmniej pozostawało w historii miejsca na grę przypadków, na doraźne improwizacje i na desperackie walenie głową w mur.

Tymczasem u nas hoduje się nadal naiwny przesąd, że historia Polski musi być zawsze cyklem irracjonalnych porywów niepowiązanych jedną myślą przewodnią, że instynkt i uczucie muszą w naszych poczynaniach politycznych górować nad trzeźwym rozumowaniem, a to po prostu dlatego, że „my już tacy jesteśmy".

Jeżeli błędna teoria naukowa znajduje maniaków kruszących o nią kopię, to wystarczy wzruszyć ramionami i pozostawić ostateczne zlikwidowanie tej sprawy fachowcom, jeżeli jednak taka teoria ma możność wywierania zgubnego wpływu na kształtowanie się życia zbiorowego, należy się jej bezwzględnie przeciwstawić. Teoria zaś przedstawiająca Kmicica jako wzorcowy typ Polaka jest niewątpliwie i błędna i szkodliwa. Kult militarnego bohaterstwa idącego „za głosem serca" wbrew zdrowemu rozsądkowi, ryzykującego wszystko w imię ambicji „pokazania się", postawienia na swoim za wszelką cenę — rozgrzesza marnotrawienie sił narodowych w nieoględnym awanturnictwie politycznym.

Podobnym kultem otacza się u nas pojęcie wolności, rozumianej jako absolutna swoboda w wyborze celów, dróg i metod działania. Okoliczność, że ta „polska wolność", nie posiadająca żadnych hamulców poza dobrą wolą i rozsądkiem swoich wyznawców, łatwo przeradzała się w anarchię, nie psuje humoru jej wielbicielom. Kiedy takie pojęcie wolności próbują realizować wyłącznie jednostki, to choćby to byli awanturnicy na miarę Samuela Zborowskiego czy Diabla-Stadnickiego, stosunkowo łatwo ich unieszkodliwić, gdy jednak wchodzi ono w praktyczną filozofię narodową jako jeden z jej podstawowych dogmatów, sprawa zaczyna przedstawiać się daleko poważniej. Nikt bowiem na świecie nie ma szans zrealizowania tak pojętej wolności. Wiara zaś w ideał niemożliwy do zrealizowania każe widzieć we wszystkich jego częściowych konkretyzacjach ułomność, niepełność, uczy pogardy dla nich i lekceważenia realnie istniejących warunków i możliwości. Tego rodzaju ideały są szczególnie niebezpieczne dla narodów małych, które na pierwszym miejscu swojej mądrości praktycznej powinny stawiać zasadę umiejętnego i celowego przystosowania się do istniejących warunków.

Zasada ta może się wydać zbyt oportunistyczna i wygodnicka i trzeba ją niewątpliwie uznać za taką, jeżeli nie jest ona traktowana jako środek, jeżeli za nią nie kryje się trzeźwa, realna myśl polityczna, wybierająca metody działania w zależności od konkretnej sytuacji. Naród, który chce żyć i rozwijać się normalnie, nie może trwonić swoich sił; musi działać ostrożnie i rozważnie, musi posiadać ideologię normującą i określającą jego aktywność. A tego właśnie brakowało nam najbardziej: konsekwentnie realizowanej, jednolitej ideologii politycznej.

Powstała obecnie sytuacja umożliwiająca nam wyjście z chaosu bezładnej szarpaniny, ułatwiająca ukształtowanie się wyraźnie określonej i żywotnej myśli politycznej. W wyborze sprzymierzeńców kierowały nami zazwyczaj względy uczuciowe i one to właśnie czyniły nas bezsilnymi wobec cudzych sprytnych rachub. Wielokrotnie walczyliśmy za cudze interesy, a nie umieliśmy zręcznie wyciągać dla siebie korzyści z ogólnego układu stosunków w Europie.

Dziś sytuacją nasz jest mimo wszystko korzystna, ale prowadząc politykę nieostrożną i nieprzemyślaną dostatecznie możemy stracić tę okazję. Ale, ażeby wygrać naszą kartę, musimy wyrzec się owych koncepcji politycznych, rzekomo wyrastających z naszego charakteru narodowego, a w gruncie rzeczy będących owocem bezmyślności politycznej naszej szlachty w okresie zmierzchu Polski przedrozbiorowej. Nie potrzebujemy się wyrzekać ducha rycerskiego, romantycznego kultu swobody i niezależności, ale musimy je podporządkować centralnej idei kierowniczej, idei politycznego realizmu.

Walka z Niemcami zakończyła się klęską naszego odwiecznego wroga, ale choć Niemcy przestały być jednym z głównych podmiotów polityki europejskiej, są nadal jej przedmiotem, są wciąż pionkiem, którym gra się na szachownicy różnorodnych ambicji i interesów. Fakt ten ma dla nas znaczenie pierwszorzędne, gdyż jego konsekwencją są próby wyzyskania jako przedmiotu międzynarodowych rozgrywek również naszych ziem odzyskanych. I oto sprawa najbardziej zasadnicza: zejście z linii polityki zagranicznej wytyczonej przez polską demokrację ludową oznacza siłą rzeczy zgodę na to, by część naszego terytorium stała się przedmiotem dyplomatycznych gier i szacherek. Wchodząc zaś w tę grę musimy zdać sobie sprawę z tego, że dla Anglii czy U. S. A. nie jesteśmy partnerem tak ważnym i potrzebnym jak Niemcy. Odważając się na politykę zjednywania sobie Zachodu i szukania tam sprzymierzeńców, musielibyśmy liczyć się poważnie z bardzo bolesnymi stratami terytorialnymi, których jedyną rekompensatą byłaby mglista nadzieja powetowania ich sobie na innych sąsiadach w wypadku trzeciej wojny światowej. Każdy rozsądny człowiek zdaje sobie sprawę z niedorzeczności takiego postępowania.

Zresztą widmo trzeciej wojny oddala się coraz bardziej, a jeśli ludzkość zdoła zapewnić sobie dłuższy okres pokoju, to jest możliwe, że w przyszłości konflikt zbrojny będzie już zupełnie wykluczony. W każdym zaś razie pewne jest, że wojna nie wybuchłaby przed upływem dłuższego czasu, tak że obecny stan rzeczy w Europie należy uznać za trwały. O ile można zaś stosować taktykę „przeczekiwania" w okresach wyraźnie przejściowych, to byłoby wielkim błędem zdecy-

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

Leonard Sobierajski

Przed wyborami

Okres przedwyborczy to czas uczciwej i surowej analizy tych mniemań, które tworzą w każdym z nas sferę świadomości obywatelskiej. Członek grupy państwowej musi sobie zdawać w tym momencie sprawę, że nie jest on tylko jednostką prywatną, urządzającą sobie tak czy inaczej swoje własne życie, ale że należy on do tego kręgu szerszego, który prywatność ludzką ujmuje w swoje własne, konieczne schematy. Jakość tych schematów zależna jest od form ustrojowych. Jedną z miar wartości ustroju jest to, w jaki sposób urzeczywistnia on ideęę sprawiedliwości społecznej. Ten problem sprowadza się do zasadniczego pytania — kto i w jakim stopniu korzysta z instytucji państwa, kto i w jakim stopniu użytkuje dobra, w jego ramach wytworzone, a wreszcie do kogo w państwie należy wytwarzanie wszelkich wartości, a do kogo korzystanie z nich.

Średniowiecze stworzyło model ustrojowy feudalno - stanowy. Obowiązki i przywileje w państwie tego typu były wyraźnie rozdzielone. Kierowanie państwem było zawarowane dla ludzi z warstwy szlacheckiej. Praca — wytwarzanie dóbr materialnych, było udziałem ludu. Był to system jakby nawarstwień; grupy społeczne były wyraźnie od siebie odcięte jak warstwy ziemi, widziane w przekroju. Urodzenie zamykało człowieka w kole, którego nie mógł przekroczyć.

Rewolucja Francuska system feudalny podważyła. Wiek XIX z rozrastającym się kapitalizmem wprowadza inne kryteria ważności społecznej. Prawo władzy, kontroli i wglądu posiada teraz przede wszystkim ten, kto skupia w swoim ręku środki produkcji. O ile w ustroju feudalnym samo urodzenie predystynowało do zajmowania kierowniczych w państwie stanowisk i do płynących z tego tytułu korzyści materialnych, o tyle w systemie kapitalistycznym pieniądz był punktem wyjścia, jego posiadanie ułatwiało osiąganie stanowisk i wpływów. Państwo feudalne było domeną warstwy szlacheckiej, państwo w wieku XIX stało się terenem eksploatacji dla oligarchii pieniężnej. Tak w pierwszym jak i w drugim wypadku warstwy ludowe były skazane na odgrywanie roli gleby, z której inni czerpią soki. Czasy ostatnie dzięki wstrząsającym doświadczeniom dwóch wojen światowych, stworzyły w ludzie zdecydowaną potrzebę takiego ustroju, który by masom zagwarantował, że państwo jest instytucją działającą dla ich dobra. Ustrój ten to ludowładztwo. Jak je sobie wyobrażamy?

Dla każdego jest rzeczą oczywistą, że państwem rządzić może tylko szczupła grupa ludzi; o jakości tej grupy decyduje baza, która ją wyłania. Ta wyeliminowana grupa będzie tym cenniejsza dla narodu im szerszą jest baza, która ją wydała, gdyż wówczas mamy większą gwarancję, że będzie to element najcenniejszy choćby ze względów ostrości selekcji.

Ludowładztwo nigdy nie występuje przeciw narodowi, boć samo przez naród zostało do władzy powołane. W naszej sytuacji Blok Stronnictw Demokratycznych realizuje ideę ludowładztwa. Wszystko, co dzieje się w dzisiejszym państwie polskim stawia sobie przede wszystkim za cel, by warstwie chłopskiej, robotniczej i inteligenckiej zapewnić jak najlepsze warunki ekonomiczne i kulturalne.

Blok Demokratyczny, który kieruje dziś krajem, wziął władzę w swoje ręce w momencie dla siebie bardzo trudnym. Po pierwsze musi się porać z trudnościami powojennymi. Kraj jest w gruzach, przemysł i rolnictwo zdewastowane, zniszczony aparat administracyjny, pustki w skarbie — po prostu zerowy punkt wyjściowy dla każdego podjętego działania. Ile energii trzeba było zużyć na to, by przeprowadzić akcję repatriacyjną. Miliony ludzi przez długie miesiące przesuwały się przez Polskę. Najkapitalniejszym problemem, który rozwiązał Rząd Jedności Narodowej było „puszczenie w ruch" Ziem Odzyskanych. Dzisiaj po półtora zaledwie roku Dolny Śląsk dymi kominami, porty nadbałtyckie tętnią życiem, pług polskiego chłopa orze nadodrzańskie ziemie. Pracę, którą dotychczas wykonano można by nazwać pracą porządkującą, oczyszczającą grunt pod właściwą budowę. Z początkiem roku 1947 Rząd nasz rozpoczyna wcielać w życie trzyletni plan gospodarczy. Plan ten wypracowali jak najskrupulatniej ludzie Bloku Demokratycznego. Naród powinien zrobić wszystko, aby dopomóc do urzeczywistnienia tego planu. Jego wykonawcom należy zapewnić swobodne pole dla pracy. Najbliższe wybory powinny zagwarantować twórcom planu gospodarczego pełne poparcie całego społeczeństwa. Blok Stronictw Demokratycznych wykazał się już wobec narodu poważnymi osiągnięciami. Zasługą jego jest reforma rolna i unarodowienie podstawowych gałęzi przemysłu. Tymi aktami społecznie rewolucyjnymi zmienił on strukturę naszego państwa. Stworzył przede wszystkim dla wsi warunki do wyjścia z zastoju gospodarczego i kulturalnego. Poprzez reformę rolną rozwiązał w części problem przeludnienia wsi — stworzył dla bezrolnych setki tysięcy nowych warsztatów pracy z majątków rozparcelowanych i na Ziemiach Zachodnich, poza tym przez rozbudowę przemysłu kieruje pozostały nadmiar ludności wiejskiej do miast. Dobrobyt wsi łączy się ściśle z realizacją trzyletniego planu gospodarczego.

Anna Kamieńska

WYZNANIA

Rękopis wykradziony z materiałów redakcji „Wici"

ROZDZIAŁ I.

— Józiek, a lećże za chłopakami. Sterczy wciąż jak ten kołek u płota.

Byłem dzieckiem poważnym i myślącym. Głębokie umysły już od maleńkości objawiają skłonność do rozmyślań otwartymi ustami i wzrokiem wlepionym w jeden punkt. Wysiadywałem tak pod jabłonką całe godziny i jeśli ani otwarta gęba, ani oczy w słup nie przyczyniły się do odkrycia przeze mnie prawa powszechnego ciążenia, to tylko dlatego, że Newton zrobił to podobno dobrych parę lat temu. Matka pędziła mnie za gęsiami i krowami, ale nie bardzo się dawałem. Ojciec orzekł, że jestem leń, matka że słabowity. Czasem tylko dziwiąc się mojej mądrości gnała mnie do chłopaków na łąkę lub do dębiny. Tak, że kiedy wreszcie posłali mnie do szkoły, siadłem na końcu klasy nie bardzo wierząc w to, żeby mnie nauczyciel czegoś nauczył. Nudziły mnie czytanki i męczyły rachunki. Poco to wszystko? Czyż nie jestem chłop, czy nie mam własnego, chłopskiego rozumu? Nauczyciel dobrze przysiedział swoich wyświechtanych spodni, aby ułożyć sobie w głowie wiele niepotrzebnych wiadomości. Ale on jest inteligent z pochodzenia, choć taki, co to księdza nie ma w rodzie, umysł z natury chwiejny, potrzebujący podpórek. Nasz zaś rozum posiada od urodzenia stałość i zdrowy sceptycyzm czyli najważniejsze cechy naukowego spojrzenia na świat.

Nie zmądrzałem więc wiele przeszedłszy przez szkołę. Nauczyciel mścił się za moją wyższość, sypał mi złe stopnie i wzywał ojca. Nie miałem mu tego za złe. Jest to do pewnego stopnia naturalne, że ten, kogo wiedza kosztuje tak wiele wysiłku, nie może ścierpieć umysłu, który bez trudu i bez oporu dochodzi do dojrzałości. Zresztą tak się objawia mierność. Gdyby zjawił się nagle jaki genialny człowiek — jest pewne, że bez słowa odnaleźlibyśmy wzajemnie własną mądrość i ręka w rękę opuścilibyśmy ze wzgardą tę hodowlę przeciętności, jaką jest szkoła.

ROZDZIAŁ II.

Słodkie i męczące wspimnienia!

Zakochałem się po raz pierwszy w Lodce, kiedy raz koło studni zadarła spódniczkę aż za kolana. Byłbym pewno szczęśliwy, gdyby nie to, że spodobała mi się też córka organisty i chodziłem do niej z pół roku. Dziewczyna była delikatna i popsuta, grała na fortepianie marsza i miała wymagania. Lodka podejrzewała, że coś tam jest między nami i przeszkadzała, jak mogła. Zawsze zjawiała się akurat kiedy trzymaliśmy się z Zosią za ręce i rzucała się całować z nią, a potem miała jej jakiś sekret do powiedzenia i odchodziły zostawiając mnie na drodze. Poza tym organista nie znosił mnie, musiałem omijać ich dom i kryć się w łopianach pod płotami. Moje szczęście w każdej chwili mogło się obrócić w awanturę, rozpacz i upokorzenie. Te sprzeczne uczucia miotające moim sercem doprowadziły mnie do potępienia współczesnego życia. Czemuż urodziłem się w czasach, gdy człowiek nie tylko nie może być pewny swoich własnych uczuć, ale musi się ciągle bać drugich? Dlaczego nie żyję w epoce, kiedy to wzruszenia ludzkie snuły się harmonijnie i spokojnie, a naturalna ich prostota chroniła od konfliktów i zadraśnięć?

Mam charakter dobry i łagodny. Postanowiłem nie kochać się więcej. Niech szaleje ten cały nowoczesny świat. Rozterka uczuć sprawia mojej czystej naturze zbyt wiele cierpień.

ROZDZIAŁ III.

Jeździłem z ojcem do miasta na wozie z burakami i kartoflami. Było tuż przed zimą. Ręce grabiały na wietrze i z nosa kapało. Lubiłem jednak monotonny chybot wozu i gruchot bulw na wybojach.

Zsuwałem się z wozu ledwo aby potrzymać lejce, a i to męczył mnie widok miasta, tylu ludzi. Każdy z nich chciałby nam ściągnąć z wozu choć parę kartofli, niektórzy się sami prosili. Pewno, na bruku im się nie urodzi.

Wracałem ukołysany i utytłany w wytłokach, budząc się od czasu do czasu z przestrachem. Ojciec śmiał się, że mieszczuch ze mnie nie będzie. I z dumą mogę to dziś potwierdzić. Nie będzie. Moje późniejsze kontakty z miastem zawsze kończyły się źle. Raz ukradli mi czapkę, kiedy indziej o mało mnie taksówka nie przejechała, a jeszcze zapłaciłem karę. A co mnie natrącali i naszturchali — będę czuł do końca życia.

Miałem i ja czas, że mnie ciągnęło — i do sklepów bogatych i do widoku umalowanych panienek, ale prędko zrozumiałem, że wszystko to pozory. **Ruch, gwałt, przepis i zakaz na każdym kroku — to tylko sposoby, aby nas, prostych** i uczciwych ludzi ze wsi **otumanić i wyzyskać.** W naszym sklepie i tak dostanę bibułkę i machorkę.

Szkoda tylko tych ludzi, co zostali porządni. Jeśli spostrzegą oni pewnego dnia, ile strat moralnych i materialnych kosztuje ich miasto, jak ich zaraża nerwowym pośpiechem i ścina w tępym mechaniźmie — powrócą na wieś. Tu jest ojczyzna prostoty i uczciwości.

ROZDZIAŁ IV.

Ojcowie przed wojną biedowali. Matka wolała jajka ponieść do miasta, a mleko letnikom, niż dać dzieciom i mężowi. Za Niemców więcej tego jedzenia zostawało w domu — i przy okazji widzieliśmy i miskę jajecznicy pięknie posypanej trybulką i ze skwarkami. Matka jest dobra gospodyni, żeby tylko miała z czego. Robi także dobre pierogi z kaszą i z miętą. Mieszczuchy to się krzywią na to, że miętę gęsi jedzą, a nie ludzie. Ale dobrze przyprawić, dobrze okrasić, to jest dworskie jedzenie. Rzadko, ale przyrządza też matka kiełbasy, jakich nie dadzą w żadnej masarni. Dla nas to święto — kiełbasa matczyna w szarym sosie. Na-codzień i kartofle muszą wystarczyć i chleb czarny. Ale kiedy tak matula krząta się przy kuchni w parze i zapachy już idą, a my z ojcem bez butów siedzimy — dziwne, że są ludzie, co uganiają się po cudzych domach i lokalach i zamykają drzwi od kuchni i wietrzą pokoje. Ludzie od dawna stracili poczucie sensu życia. Zabiegani za interesami nie widzą prostych źródeł dobrobytu, żądając zbyt wiele — nie otrzymują nawet zadowolenia. Nie mówię ja, że na wsi jest dobrze. Nie bardzo się naje nieprzywykły z naszej miski. Ale my **przechowujemy formy rodzinnego współżycia,** które pozwalają przeżyć nam takie chwile, jak te w oczekiwaniu na kolację.

Już głowa ojca wtapia się w cień. Posapuje pod wąsem. Namachaliśmy się cepami. Ciągle w uszach wybija: cup-bum-da, cup-bum-da! **Historia od wieków słucha tej muzyki.** Tak, tak, tak. To znów zegar. Brzękają łyżki. Bulgoce woda w kociołku. Wszystko potakuje, wszystko potwierdza, wszystko ustala.

Ile próżnych myśli zużywa uczony, aby powiedzieć zwykłe: tak. Chłop z siebie wysnuwa tę samą mądrość, z kociołka z kartoflami, z zegara, z chrobotu rzeczy: tak.

ROZDZIAŁ V.

Przewaliła się wojna. A tu tego spokoju, cośmy czekali, nie widać. Jedno tylko zamieszanie na świecie. Najgorzej, że jeden drugiego chce uszczęśliwiać. Naród wtrąca się do narodu, robotnik do chłopa, a i chłop chłopu zagląda w garnek. Wziąłby się każdy do własnej gospodarki, do własnego życia. Jakim prawem cisną się do mnie, a to, że zacofany, bo pługiem orzę zamiast traktorem, a to, że głupi, bo nie tylko o ziemi, ale i o duszy myślę. Idźcie wy z waszym zbawieniem! Zbawiali nas księża i panowie — walczyliśmy z nimi. Wy nas chcecie zbawić — walczymy z wami. Cały ten świat razem z waszymi fabrykami produkującymi tandetne kiecki, pończochy i pociski armatnie, razem z waszymi uniwersytetami, w których filozofowie żalą się na bezsilność własnego mózgu, z miastami, które są jak strzępy żywych nerwów — ginie. Gdy zamkniecie radia wyjące wieczorem swoje wieści bynajmniej nie pokojowe — usłyszycie, jak skrzypi ten gmach. Podnieśliście go za wysoko w stosunku do kruchej podstawy. Biada!

Poeci przedwojenni, katastrofiści mieli rację patrząc na was z litością i oburzeniem, jak wysypywaliście się w nocy, z kin i barów.

Śpi teraz sobie taki poeta pod darnią. Uczeń gimnazjalny przynosi mu w Zaduszki gałązkę świerku za pięć złotych.

Chłopczyku, do nas! Myśmy mądrzejsi od tamtego pisarka, bo znaleźliśmy wyjście, którego on nie przeczuł. W nas jest zbawienie, w nieskażonym cywilizacją chłopie polskim.

Przypomnij sobie jasełka — tyle person barwnych ciśnie się i tłoczy w dumnych lub zbyt pokornych gestach. A tam wśród zakurzonych liści palm i rododendronów ściągniętych zewsząd z plebanii i od aptekarzy postawili spokojnie chłopa. Niech przejdzie farbowana zgraja.

On zdąży, betlejemski patriota.

ROZDZIAŁ VI.

Ziemia jest ciepła, wielka, dobra. Oddycha po żniwach wzdymając tchem obłoki. Ptak przemknie. Ludzie wynaleźli działy i granice. O te sztuczne linie, niby południki na globusie toczą się wojny i spory.

Dziadek harował całe życie, aby przesunąć naszą miedzę tu, gdzie stoją dwie wierzby. Co mi tam działy!

Tu się położę. Dziecko nie jest szczęśliwsze na ręku matki, ani chłopak na piersi kobiety. Zdrzemnę się, nikt mi i tak nad głową nie stoi, a robota nie zając. Śpię w szumie, odgięty jaskier kołysze się nad czołem.

Tam w miastach rosną piętra, chlapie wapno, ludzie biegną do biur i redakcji, staruszka wpada pod auto, szumi wiec polityczny, sypie się szkło.

Chrrr... chrrr...

ROZDZIAŁ VII.

Ożeniłem się z panną, która miała nieszczęście przez parę lat służyć we dworze. Zasmakowała w cywilizacji technicznej i teraz gwałtem chciałaby reformować nasz dom. A tego się odrazu nie zrobi. Nic nie mam przeciwko elektryczności, kanalizacji, odkurzaczom. Ale przy nich i człowiek zamienia się na maszynę, automat. Mańka ledwo liznęła tej cywilizacji, a już uległa jej zepsuciu. Naciśniesz, a tu sypią się żale, że za ciemnego chłopa poszła, że w Niemczech świnie lepiej mieszkają, jak u nas ludzie.

Nie mam na nowe kołki w płocie, na podmurówkę chlewa, a będę dom przerabiał, żeby mi żona z wanny nie wychodziła! Patrzę na stare baby, co i wrzeciono umieją kręcić i nie narzekają, że we mróz za stodołę trzeba chodzić. Wszystko pokolei przyjdzie, a do bezduszności ulepszeń i maszyn nie ma się co śpieszyć. Przyjdzie i zło za nimi. Krok za krokiem oddalamy się od natury. A tego, co staje na drodze i woła — nie tędy! — strącają jak głupca. Potem dopiero, kiedy będzie zapóźno, obejrzą się za czasami, w których siało się ręką i zbierało ręką, i człowiek liczył się za coś — wolny.

Człowiek w niewoli człowieka, to źle, ale człowiek w niewoli maszyny, to straszne.

Takie myśli ogarniają mnie, gdy mi żona rozpowiada o maszynach do chłodzenia, podgrzewania, pieczenia i krajania.

— A maszyny do myślenia jeszcze nie wynaleźli?

— Była, a jakże, u pana maszyna do liczenia, maszyna do pisania...

A że były to nasze pierwsze dni, zapytałem:

— Ale maszyny do kochania pewno jeszcze nie było?

— A bo ja wiem?

Chcecie odwracać naturę. Ale ona się zemści.

ROZDZIAŁ VIII.

Nasz ksiądz pleban nosi na sobie nie mało materii, ledwo się w konfesjonał wciska. Ksiądz wikary ma więcej ducha, niż ciała. Mówisz plebanowi o niebieskim sakramencie, on ci o ziemskim pieniądzu. Mówisz wikaremu o ciele, on ci o duchu. Z żadnym się nie dogadasz. Nawet religia nie potrafi ci pogodzić ciała i ducha. Co mówić o nauce! Tam ciało gorszy, tu duch śmieszy.

A przecież sądzić, że ducha nie ma, to tak jakby pomyśleć człowieka bez cienia. Ile ich było, systemów filozoficznych, wszystkie próbowały różnych związków duszy i ciała. A tyle z tego wyszło, co strażakowi w pożarze, gdy ogień zaleje wodą.

Ale zagłąb się w siebie, gdy już wszystko śpi, a żołądek trawi spokojnie. — Od ciebie, chłopie, filozofie czekają **na ostatni, prawdziwy system.** Nie podasz go w żadnej formule. Mlaskać językiem i Sokrates umiał. Ale wstaniesz nazajutrz większy od wszystkich Sokratesów. Patrzysz, a tu ci żaden dym od miasta nie zasnuwa nieba. Rosa się błyszczy, błyszczy aż do horyzontu. Cmokniesz na konia.

Jak cicho. Czy można wiedzieć ciszę, spokój? Czuć trzeba.

ROZDZIAŁ IX.

Wiele złego doznała klasa chłopska od szlachty. Więzy dworu zaciśnięte koło wsi rozluźniały się powoli, a teraz wreszcie opadły. Sprawiedliwie. Świętochowski dobitnie opisał nasze krzywdy w „Historii chłopów polskich".

Nie mówiąc już o pamiątce razów i upokorzeń, jakie wyniósł chłop z swej historii — wielka własność ziemska krzywdziła ekonomicznie wieś — przeludnioną, głodną, bezdomną.

Dlatego myślę, nie powinien mi obciążać sumienia ten wasąg, wyprowadzony z wozowni dworskiej.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Otwieram. Stoi nasz dziedzic grzeczny, zmizerowany. Mam wóz, może odwiozę *rzeczy* ze dworu na plebanię. Ojca nie ma. Ojciec zakazał. Siada nasz dziedzic i przypomina te kawki, cośmy im razem łby ukręcali. Jesienny dzień. Prędko zmierzch zapada. Już i jechać ani rusz. A nam się coraz rzewniej gada. Pamiętam te kawki i raki pamiętam i jak mi panicz złotego wsunął.

Tak pochyleni ku sobie płaczemy razem.

— Zgoda! — płacze dziedzic.

— Zgoda! — ja płaczę.

I kiedy tak godziliśmy się z wrogiem, bo już nie wrogiem, zerwałem się. Wśród nas samych chłopów — ile jest doktryn i ideologii, ile ciągania w *sprzeczne kierunki!* A chłop i robotnik — czy nie patrzą na siebie krzywo, bo chłopu drogo się widzi chustka dla żony, a robotnikowi — jajko? Kto tu rozezna słuszność?

Dziedzic poszedł. Aż mnie żona pchnęła na łóżko i zaczęła ściągać buty, bo rwałem się powtarzając: Zgoda! Zgoda! Zgoda! — Poduszka była mokra od łez.

ROZDZIAŁ X.

Wiem aż nadto dobrze, jakie ataki i zarzuty spotkają moje wyznania. Jestem ich pewien i nie przekonają mnie żadne wywody, ani osłabią oszczerstwa. Mam ja własne i jedynie prawdziwe pojęcie demokracji, kultury, ideologii ludowej, które ślinią sobie w ustach moi przeciwnicy. *Pomieszały* się języki. Dziesięciu ludzi krzyczy — demokracja, a wychodzi z tego zgiełk, że i słowa nie można pojąć. Etymologowie mają zawsze rację, ale ich racja jest starta, nieaktualna. Wtedy, gdy tworzyły się słowa i słońce nie było tym słońcem, co dzisiaj, bo ile mu światła ubyło! A że tyle jest pojęć, ile interesów własnych i grupowych — więc każdy niech weźmie je na swoje sumienie i uczciwie siebie zapyta: co to jest demokracja? co to jest ideologia ludowa? Razi kogo mieszanie moralności do pojęć? A to właśnie główny błąd dzisiejszego cywilizowanego świata. Razi ich moralność, bo musieliby potępić wszystko, co stworzyli i siebie samych.

— Zielone — mówią jedni.

— Jakto? To jest czerwone.

I dlatego albo wszystkim założyć jednokolorowe okulary, a wtedy wszyscy padną sobie w objęcia, albo podrzeć sztandary i także się uściskać.

Naiwny! Lecz oni zamiast serc mają maszyny do kochania.

Mańka! Ty miałaś rację. Wynaleźli także maszyny do kochania. Lecz maszyna do kochania ojczyzny jest ze wszystkich najgroźniejsza. Wygląda jak karabin.

Wybiegam na pole. Wiatr mnie owiewa. Włos moich wierzb jest jedynym sztandarem. Chleb mi rośnie dla wszystkich ludzi — na zgodę! na zgodę! na zgodę!

Sprawiedliwy Boże! Nawet jeśli **oni** mają słuszność — ja mam serce.

EGZAMIN POLITYCZNY

(Dokończenie ze str. 1-ej)

dować się na nią w momencie stabilizacji stosunków międzynarodowych.

W utrzymaniu obecnego stanu rzeczy w Europie środkowej i wschodniej są jednakowo zainteresowane Polska i Z. S. R. R. Można mieć zastrzeżenia co do politycznej ideologii sowieckiej, ale trzeba zdawać sobie sprawę z faktu, że jest ona cementem zespalającym jedyne na świecie mocarstwo, które w imię własnego dobrze zrozumianego interesu jest naszym szczerym, niekoniunkturalnym sprzymierzeńcem. Silna Polska — to bastion Słowiańszczyzny nad Odrą. Zdają sobie z tego sprawę w Rosji Sowieckiej. Trzeba, żebyśmy i my zdawali sobie sprawę z tego, że silna Rosja jest gwarantem utrzymania się obecnego układu stosunków w Europie i że każde antysowieckie posunięcie na szachownicy polityki międzynarodowej zwraca się w ostatecznych swoich konsekwencjach także przeciwko nam.

Jasne, że każdy rząd w Polsce, o ile nie składałby się z wariatów czy zbrodniarzy, dążyłby do utrzymania sojuszu polsko - radzieckiego. Chodzi nam jednak o to, by polityka nasza wobec Sowietów nie było kontynuacją polityki ks. Druckiego - Lubeckiego czy margrabiego Wielopolskiego, polityki ugody i rezygnacji, ale żeby stała się polityką rzeczowej, twórczej współpracy dwu narodów słowiańskich.

Zapewnić zaś to może tylko rząd prawdziwie demokratyczny, reprezentujący interesy warstw pracujących naszego społeczeństwa. Oto jedna z przesłanek, które musi wziąć pod uwagę każdy Polak decydując się na kogo ma oddać głos w dniu 19 stycznia 1947 roku. Wybory te będą bowiem egzaminem naszej politycznej dojrzałości.

Adam Polańczyk

Piotr Chmura

POSŁOWIE NA SEJM

1. PARLAMENT R. P. 1919—1927

Zbliżają się pierwsze wybory w nowej Polsce. Drogi Czytelniku, zastanówmy się wspólnie raz jeszcze nad naszą decyzją. Od czego zaczniemy? Proponuję — weźmy za punkt wyjścia słynne powiedzenie Witosa **„Polska upadła jako państwo szlacheckie, Polska powstaje teraz jako państwo ludowe“.** Myślisz pewnie, że Wincenty Witos powiedział to w 1945 r.? Nie, powiedział to już w 1919, na progu Polski lat międzywojennych. Już wówczas chciał, już wówczas zdawało mu się....

A jaką była rzeczywistość społeczna? Jakie te pierwsze lata parlamentu w odrodzonej Polsce? Kimże ci posłowie?

Drogi Czytelniku, pochyl się wraz ze mną nad książką, która nosi tytuł: „Parlament Rzplitej Polskiej 1919 — 1927“. Niech mówi do nas historia. Nie udała się wówczas rewolucja. Rzeczy szły więc w dalszym ciągu, jak w okresie Rady Regencyjnej, kiedy trzema regentami byli: arcybiskup Kakowski, książe Lubomirski i obywatel ziemski Ostrowski. Szły więc tak, że otwierał sejm książe Radziwiłł, marszałkował obywatel ziemski Wojciech Trąmpczyński, w sejmie widziałeś mitry książęce i biskupie. Na pierwszego prezydenta kandydatem był hrabia Zamojski. W pierwszym głosowaniu uzyskuje olbrzymią większość — konkurentem jest G. Narutowicz, ten, którego — wiesz zamordowano, kiedy został prezydentem.

Widzę, Drogi Czytelniku, że się niecierpliwisz. Chcesz powiedzieć: no, dobrze, ale przecież byli chłopi — posłowie i było ich dużo. I dali to sobie w kaszę dmuchać?

— A który klub chłopów najbardziej Cię interesuje? — Oczywiście, ten który ma najstarszą tradycję w ruchu ludowym P.S.L. „Piast“.

2. SZLACHTA I MIESZCZANIE W „PIAŚCIE“

No to czytajmy życiorysy posłów „Piasta“. Jest ich 58. Wiesz o tym, że w 1919 r. „Wyzwolenie“ połączyło się z „Piastem“,



Jan Dąb - Kocioł
wojewoda łódzki

wzbogacając klub o kilkudziesięciu posłów. Ale już w 1920 r. wystąpiło 24 posłów z „Piasta“ za jego konszachty z obszarnikami i prawicą, prowadzone w myśl również sławnej zasady: „Bez porozumienia z Narodową Demokracją nie może być trwałego rządu, zwłaszcza, że duchowieństwo będzie się do niego wrogo odnosić“. Z latami, jak pamiętasz, urodził się z N. D. obóz Wielkiej Polski, z niego O.N.R., a z tego N.S.Z. W 1923 r. po słynnym pakcie lanckorońskim „Piasta“ z prawicą odeszło 17 posłów z Wysłouchem na czele. I wciąż odchodzili potem inni. Tych tutaj 58 życiorysów to historyczny trzon „Piasta“.

Jak myślisz — ilu w tym klubie, gdzie przewodniczył chłop rolnik, W. Witos, mogło być inteligentów?



Jan Kulka
Prezes Łódzkiego Zarządu Woj. Związku Samopomocy Chłopskiej

— No, może dziesięciu...

— Nie, Drogi Czytelniku, było ich na ogólną liczbę 58 — 42.

— Rzeczywiście, nie przypuszczałem. Ale to i lepiej. Mądry był klub. Wykształceni chłopscy synowie wiedzieli jak bronić sprawy ludowej.

— I w tym się mylisz. Tych chłopskiego pochodzenia było tylko 7 miu, najsłynniejszy z nich to M. Rataj i Gruszka B., reszta nie odegrała większej roli.

— A jakiegoż pochodzenia byli ci pozostali inteligenci?

— Ci pozostali to większość — 35 na 7. 17 z nich jest ziemiańskiego pochodzenia. Reszta mieszczańskiego. Pochodzą przeważnie z małych miasteczek. To ma swoją wymowę. Przypomina „Wesele“ Wyspiańskiego. Bogaci chłopi goszczą u siebie panie radczynie. Takie było pierwsze jednoczenie się wsi z miastem na przełomie XIX i XX w. Ci mieszczanie z Brzeżan, Mielca, Trembowli, Sambora, Ciechanowa, Bochni i innych mieścin wychodzą na adwokatów, lekarzy, aptekarzy, burmistrzów, przemysłowców. Zaczynają praktykę zawodową w rodzinnych miasteczkach. Któż jest ich najbardziej rentownym klijentem? Bogaci chłopi. Interes zawodowy z nimi zadzierżga nić kontaktu społecznego. Bogaci chłopi szanują panów mecenasów, a panowie mecenasi takim jeszcze chłopom gotowi są przewodzić. I dlatego ten i ów „sporo czasu poświęcił organizowaniu włościaństwa przy PSL“.



Antoni Korzycki
Sekretarz Generalny S. L.

— A Kiernik?

— Z Bochni, Drogi Czytelniku.

— No, a ci szlachcice w „Piaście“?

— Ci szlachcice — połowa z nich była rodem z Kresów Wschodnich. Większość to — „wysadzeni z sioła“. Inżynierowie rolnicy, nauczyciele gimnazjalni, adwokaci, komisarze ziemscy. Każdy z nich, jak podaje, wychował się w „atmosferze wzniosłego patriotyzmu i religijności“. W tym punkcie występuje powszechna zgodność u wszystkich posłów „Piasta“ — ziemian, mieszczan i chłopów. Tylko ci ostatni nie odebrali **„starannego“** wychowania patriotyczno - religijnego. To też patriotyzmu uczą tamci — inteligenci. Nie tylko nauczyciele — humaniści, ale i inżynierowie wymieniają jako najcenniejsze wyposażenie swego światopoglądu poezję romantyczną: Słowacki, Malczewski, Wyspiański... „Utwory Kasprowicza, Sienkiewicza stanowiły jego ulubioną lekturę“. Chłopi byli pojętni. „Taki Janeczek, chłop — poseł“ po ukazaniu się jubileuszowego wydania pism Sienkiewicza nabył je i czytywał włościanom podczas jesiennych i zimowych wieczorów, nieraz nocami, budząc wśród włościan ducha patriotycznego i miłość ojczyzny“. I miała upaść Polska szlachecka? Janeczek pochodził z gospodarstwa 30 morgowego. Był członkiem sejmiku powiatowego i komitetu odbudowy kościoła. Widzę, że posmutniałeś, Czytelniku. To była taka tradycja. Nie wiesz, że w tej tradycji, jeszcze przed odzyskaniem niepodległości, chodziło się do namiestników Galicji, hrabiów Bilińskich i Badenich o finansową pomoc, że się potrzebowało hr. Mieroszewskich i Reyów. — To Stapiński — powiesz, Czytelniku. Tak, Witos znów protegował hr. Lasockiego, bankierów Długosza, Hamerlinga. A zapomniałeś, kto chodził po rozłamie ze Stapińskim do biskupa Wałęgi? Przecież nie sam Bojko. Otóż ci szlachcice w „Piaście“ za czasów pierwszego parlamentu Polski Odrodzonej „ poza pracą zawodową wyjeżdżali niemal co niedzielę na wieś“. Poza pracą zawodową. Ale wówczas inny był styl i dlatego taki pan poseł pisał w życiorysie, że **„W życiu prywatnym poświęca się przemysłowi** i ostatnio zajmuje stanowisko dyrektora jednej z największych fabryk warszawskich“.

W życiu prywatnym **poświęca się** przemysłowi...

3. CHŁOPI W „PIAŚCIE“

— A jakąż rolę pełnili posłowie chłopi w „Piaście“?

— O tych 15 chłopów pytasz, Drogi Czytelniku? Robili swoje. Jeden był dumny, że jego ojciec występował w 1846 r. przeciwko Szeli i na ten i inne tematy miewał „naukowe pogawędki“. Inny na 60 morgach „oddawał się pracy społecznej“. Inny przemawiał na sejmie w sprawie uprawy tytoniu przez włościan i „potępienia plagi myszy w Małopolsce“. Inny był prezesem Związku Oficjalistów „i nie zaniedbywał też działalności oświatowej“. Krótko mówiąc, oni tu — kibicują. Brak im wykształcenia wyższego, to prawda. Ale rozstrzygające jest to, komu musieli zaufać. Kto był plenipotentem ich i wsi sprawy? Na to, Drogi Czytelniku, masz odpowiedź w tych 35 ziemianach i mieszczanach — reprezentujących PSL, w takiej sytuacji ogólno - polskiej, kiedy przemysł i majątki ziemskie były w prywatnych rękach, kiedy restauracja Polski szlacheckiej była ideałem Narodowej Demokracji, mieszczaństwa, kleru i chłopów słuchających panów-adwokatów wewnątrz swojego stronnictwa. Matki tych panów w „Piaście“ noszą imiona Karoliny, Teofili, Salomei, Joanny, Michaliny, Teresy... i t. d. Cóż ci panowie — **wówczas** — mogli i chcieli radzić? Kompromis i **pakty z prawicą.**

— A nie było to działaczy chłopskich w terenie?

— Owszem byli; tych 15 posłów - chłopów należałoby zaliczyć właśnie do tamtej grupy terenowych, lokalnych działaczy. I przeglądając tę pełniejszą listę można zrozumieć dlaczego w sejmie, gdzie powinny były się zetrzeć interesy chłopskie z ziemiańskimi i kapitalistycznymi, chłopów reprezentowali inteligenci, którzy przez pochodzenie, wychowanie i zawód byli na służbie u sił ziemiańsko-kapitalistycznych Kimże są ci działacze chłopscy w terenie? Nie będę wymieniał nazwisk. Do dziś żyją w pamięci anegdoty i epitety, które przylgnęły do każdego z nich i po nich, jeżeli Ci na tym zależy, poznasz osoby. Sławni są z tego, że „z poczciwców chłopów“, „głowę i serce noszą w brzuchu“, lubią patrzeć tam „gdzie się z komina kurzy“, „różnie się obzierają“, “ nie głupi chłop tylko mu tego udowodnić nie można“, robią chłopom „wiater w głowie“, stawiają „diabłu świeczkę i Panu Bogu ogarek“, „spuklowują się“ w agitacji, choć ta zaczyna się najczęściej od wycałowania wszystkich i wproszenia w kumy, ale i kończy się zazwyczaj wyśpiewaniem melodii o historycznej dziurze w moście.

Cóż te epitety mówią? Że i ci chłopi nie byli reprezentantami interesów **całej warswy chłopskiej** i nie prowadzili jej do historycznej, nieodzownej walki. Pod tymi epitetami wyraża się rzeczywista droga różnych Ptaków i Dobijów, którzy dobili się majątku, różnych Krężelów i Rączkowskich, którzy dwory kupili i „obywatelami ziemskimi“ zostali, różnych wreszcie Brylów i Gagatków, którzy wybrylowali po 7 kamienic i folwarki i wygagatkowali się dosłownie na jednych z najbogatszych ludzi w Polsce.

4. NASZE WYBORY

Drogi Czytelniku! A teraz pomyśl o naszych wyborach. Pomyśl o tym, że my dziś wybieramy posłów nie jak przed 30 laty po to, aby oni dopiero tam, w sejmie, starli się z sobą i żeby walczyli z Polską Ludową. Dziś stało się inaczej. Najpierw obaliliśmy Polskę szlachecką i Polskę kapitalistyczną i w pierwszych wyborach do sejmu chcemy zapewnić trwałe istnienie i rozwój już powstałej Polsce Ludowej.

Wiesz dobrze, Czytelniku, że najwyżsi dostojnicy Rządu Tymczasowego to bardzo dziwni inteligenci. Z robotników i chłopów. I nie z pochodzenia tylko, ale z wyrastania i działania wśród nich i z nimi. Wiesz dobrze, że to są ci, którzy przeprowadzili **wielkie reformy.** A reformy stworzyły rewolucyjnie — **stan faktów dokonanych**, który postawi sejm w obliczu Polski Ludowej — a nie obszarniczo-kapitalistycznej. Ty wiesz, że siły ludowe musiały się **ubezpieczyć faktami**, a **nie obietnicami** i porozumieniami. Tam, gdzieśmy jeszcze i dzisiaj postawili na obietnicę i dobrą wiarę, tam się powtórzyło „Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek“, tam się „różnie obzierają“ a najczęściej tam, „gdzie się z komina kurzy“, z komina wielkich fabryk angielskich, dla których tworzenie Polski w roli półdzikiej kolonii oznacza zabezpieczenie źródła wyzysku dla wielko kapitalistycznego mocarstwa.

Drogi Przyjacielu, widzę że porzucasz broszury Antoniego Korzyckiego. Tak, warto sobie zdać sprawę z różnicy epok. Przed wielu laty Witos na sejmie Galicyjskim przemawiał do panów kolegów: „nie róbcie z tego serdecznego ludu armii niezadowolonych“. Ci panowie to była instancja wówczas najwyższa i ostatnia, wobec której doprašzać się można było poprawy losu wsi. Sprawa narodu i jego roli w Europie leżała jeszcze całkowicie w sferze dyspozycji panów i ich zagranicznych powiązań. A dziś młody sekretarz Stronnictwa Ludowego, Korzycki rąbie prawdę w oczy instancjom, które na tym świecie do ostatnich czasów uchodziły za bardziej boskie — w opinii przeciętnego obywatela — niż sam Pan Bóg. „Angielscy przyjaciele Niemiec rachują na to, że zwycięstwo reakcji w Polsce otworzy im drogę do odbudowy Niemiec, przywróci Niemcom Śląsk — kuźnię wojenną i porty na Bałtyku. Chcieliby z Polski uczynić powolne narzędzie w swych rękach dla przygotowania wojny z Sowietami“. Korzycki rąbie prawdę w oczy tej części ruchu ludowego, która robi chłopom wiater w głowie: „Przywódcy P.S.L. razem z reakcją z utęsknieniem oczekują interwencji angielskiej w Polsce“. Drogi Czytelniku, zdaj sobie sprawę, jak Stronnictwo Ludowe dojrzałe dziś jest do odpowiedzialności za naród polski; widzi, że mechanizm niewolenia klas pracujących, że mechanizm niewolenia zapóźnionych w rozwoju cywilizacyjnym narodów leży ostatecznie **w rękach mocarstw kapitalistycznych.** Dlatego jego obrona wsi, obrona narodu jest najbardziej światła i skuteczna.

Patrz, Drogi Czytelniku, mam tu na biurku życiorysy kandydatów na posłów-chłopów z woj. łódzkiego. Od 3 mórg do 7 ha. A są i robotnicy rolni. Cztery cechy powtarzają się tu stale. Pierwsza: każdy z nich miał w swym życiorysie okres miejski. Pracowali na torach kolejowych, w kopalniach francuskich, w fabrykach tkackich w Łodzi, w ślusarskich zakładach przemysłowych w Warszawie i t.d. Druga: kształcą się etapami, po szkole powszechnej, po 5 klasach gimn., po niższej szkole roln., pracując zawodowo, organizując spółdzielnie, „Wici“, strajki rolne, czy w czasach wolnych od siedzenia w więzieniu, nie ustają równocześnie powiększać swego wykształcenia. I sięgają WSGW, gimnazjum, kursów handlowych, Instytutów Pedagogicznych.

Trzecia: prawie wszyscy byli wiciarzami, prezesami powiatowymi i wojewódzkimi,



Piotr Szymanek
wiceprezes łódzkiego Woj. Zarządu S. L.

wnosili oni w „Wici“ swoje doświadczenie z fabryk i swój pęd do gospodarczego rozwoju wsi. Nawet najmłodszy z nich już po wojnie powołany został na prezesa Woj. Zarzadu „Wici“ w uznaniu jego osiągnięć w pow. Zarządzie Z.S.Ch.

Czwarta: są to ludzie, którzy ciągną tradycję, jak najstarsi — od „Zarania“ jeszcze, od udziału w komitecie rewolucyjnym w Hanowerze po pierwszej wojnie światowej, jak młodsi — od strajków rolnych, od manifestacji chłopsko-robotniczych, od walki z najeźdźcą podczas okupacji, walki o Polskę nie londyńską.

Obecny wojewoda łódzki — kandydat na posła, jest również ich kolegą, chłopem, który wyszedł z 3 morgów.



Władysław Chlebny
członek Prezydium łódzkiego Woj. Zarz. Z. Mł. W. „Wici“

Jan Aleksander Król

MIŁKOWSZCZYZNA*)

Część II.

Jako punkt wyjścia przyjmuje Miłkowski daną w doświadczeniu współczesną rzeczywistość wiejską. Określa ją w oparciu o trzy założenia, które dadzą się tak sformułować:

1) Element grupy wyznacza system społeczno - gospodarczy całej grupy. Charakterystyka elementu według metody pars pro toto daje obraz „istoty" grupy.

2) „Nowy ustrój" należy budować przy **niezmienionej funkcji** elementu rzeczywistości wiejskiej, co więcej, należy właśnie oprzeć go na tej tradycyjnej funkcji.

3) Cechy bowiem elementu, powstałego w pewnym okresie historycznym można uznać **za stałe** dla warstwy chłopskiej.

Dla socjologa i metodologa wszystkie trzy założenia są nie do przyjęcia.

Założenie pierwsze

Co stanowi wiejską rzeczywistość społeczną? — Warstwa chłopska, zespół instytucji wiejskich, gromada? Miłkowski odpowiada: rodzina — „najniższa komórka gospodarcza". To określenie ma podwójną wymowę. Po pierwsze, zakłada, że wszelka inna rzeczywistość społeczna jest bądź „pochodna", bądź „składa się" z tych elementarnych komórek. Po drugie, sugeruje, że bez istnienia tych komórek nie ma rzeczywistości wiejskiej. Nie one są więc wytworem grupy, ale odwrotnie, one tę grupę społeczną stwarzają i wyznaczają.

Miłkowski nie wziął pod uwagę historii. Przecież istnienie samodzielnych gospodarstw chłopskich datuje się dopiero od czasów zniesienia pańszczyzny. Gdyby zniesienie nie nastąpiło, nie byłoby samodzielnych gospodarek. Powstały one zatem, **jako rezultat** zmian społecznych stosunków produkcji **w całej warstwie** chłopskiej. Uwolnienie chłopów spod społecznej i ekonomicznej zależności dworów wyraziło się w nowej funkcji rodziny: **gospodarczo niezależnej jednostki.** Razem bowiem z odrzuceniem poddaństwa w formie „służby na pańskim" odrzucona została, jako system organizacji tej służby, **szersza więź społeczna,** jaka istniała już na wsi, zadzierżgnięta we wspólnej, zbiorowej pracy na folwarkach. I to, co niknie na naszych oczach w formach t.zw. naturalnej samopomocy (pomoc pogorzelcom, nowożeńcom, sąsiadom w obróbce pola) utrzymywało się długo jeszcze właśnie z tamtej tradycji. Gdyby upadek pańszczyzny był dziełem świadomej rewolucji chłopskiej, wolno sądzić, że organizacja uspołecznionej pracy nie zostałaby tak straszliwie zmarnowana, jak to się właśnie stało.

Założenie drugie

„Jeżeli za podstawę naszych rozważań weźniemy pod uwagę samodzielne gospodarstwo chłopskie, to w tej najniższej komórce gospodarczej możemy się dopatrzeć wielu zasadniczych elementów przyszłego ustroju społeczno - gospodarczego z punktu widzenia wsi".

Błąd rodzi nowy błąd. Jak można budować nowy w założeniu **ustrój przy niezmienionej funkcji** elementu społecznego, jakim jest samodzielne gospodarstwo chłopskie? To tak jakby Miłkowski namawiał popańszczyźnianych chłopów aby nie zrzekli się zbiorowej pracy. Nie ustaliłyby się wówczas znane nam stosunki drobnej wolnokonkurencyjnej produkcji chłopskiej.

Założenie trzecie.

Miłkowski przeprowadza charaterystykę rodzinnej gospodarki chłopskiej. Przedstawiony wykaz cech winien — według niego — stanowić podstawowy zespół wartości społecznych nowego ustroju. Na jakiej zasadzie? Otóż na tej — Miłkowski nie zdaje sobie sprawy, że wzięta przez niego do analizy organizacja gospodarcza i jej cechy społeczne, związane są z pewnym, historycznym okresem warstwy chłopskiej. On je traktuje pozahistorycznie — jako wartości „wieczne", oddające „istotę" chłopskości, wyrażające **na stałe** „punkt widzenia wsi".

Przyjrzyjmy się bliżej tej charakterystyce. Zmierza ona do przełożenia procesów gospodarczych na język wartości moralnych.

1) Powołany na świadka I. Solarz utrzymuje, że rodzina chłopska „patrzy na ludzi nie jako źródło i przedmiot wyzysku", ponieważ „chłopskie gospodarstwo pracuje przeważnie nie na zbyt i zysk, ale na własne zaopatrzenie rodziny w żywność". Może to i prawda, ale dla nas ważniejsze jest potwierdzenie, że ta gospodarka nie stanowi warsztatu produkującego na rynek. Że jej rynkowy wkład stanowi nikły procent produkcji. A ten fakt umiejscawia ją w historii rozwoju metod i wydajności produkcji na pozycji **przedwczorajszej.**

W warunkach zacofanej, parcelowej, azjatyckiej gospodarki rolnej dla zaopatrzenia w żywność jednej rodziny, żyjącej w mieście, trzeba pracy pięciu rodzin chłopskich, u nas prawie trzech. W Danii jedna rodzina chłopska zaopatruje dwie w mieście, w Szwajcarii — trzy, w St. Zjednoczonych jedna rodzina farmerska — 4—5 rodzin w mieście.

Na przestrzeni całej charakterystyki będziemy obserwowali, jak tragedię ekonomiczną wsi przesłaniają związane z nią tradycyjne, „świetlane", „piastowskie" wartości moralne i jak dążenie do zachowania tych cech utrwala tragedię ekonomiczną. Jakże przejść na zbyt i zysk, kiedy straci się dawną serdeczną „ludzkość"?

Na innym miejscu, gdzie już Miłkowski nie ma obowiązku czarować urokami tradycyjnej gospodarki chłopskiej, czytamy aż nadto otrzeźwiające wyznanie:

„Obecny system gospodarki rolnej jest pozostałością z czasów średniowiecza czyli tzw. system gospodarki naturalnej... Dawniej gospodarstwo chłopskie było prawie całkowicie samowystarczalne, bo nie tylko środki spożycia, ale również inne potrzeby jak ubrania i sprzęty, narzędzia rolnicze były produkowane w obrębie gospodarstwa. Ogólny rozwój gospodarczy i postęp techniczny sprawił, że chłop zaczął ubierać się w materiały, wytwarzane w fabryce, używać narzędzi rolniczych, wykonywanych sposobem fabrycznym itp. Jeżeli jednak chodzi o sam system gospodarzenia, to ten się niewiele zmienił. Produkuje się zazwyczaj wszystko — co jest potrzebne w gospodarstwie domowym".

2) „Chłopskie gospodarstwo indywidualne wyrabia wiele wyraźniej osobowość człowieka, gdy **musi sam sobie radzić,** zwłaszcza na wsi rozrzuconej" (Solarz cytowany przez M.). „Od **jego** pracowitości, energii i **pomysłowości** zależy wynik całego gospodarstwa". (M.)

Solarz przemawia językiem Ewangelii. Osobowość ogląda sub speciae aeternitatis, a nie w perspektywie historii, nie na tle warunków produkcji i życia innych środowisk. Sugeruje w ten sposób przekonanie, że gospodarstwo najlepiej sprawdza możliwości inteligencji, uczuć, etyki, czyli tzw. duchowej strony człowieka. Ale podobnie wojny i choroby sprawdzają nasz patriotyzm, nasz stosunek do rodziny i przyjaciół, z tego jednak nie wynika, aby dla bardziej efektownych przejawów wartości duchowych aprobować wojny i choroby. A tak rozumują Solarz i Miłkowski w odniesieniu do gospodarstwa. Ważne jest to, że chłop **„sam sobie musi radzić"**, że od **„jego pomysłowości"** zależy wyłącznie wynik całego gospodarstwa. Ta pochwała samowystarczalności technicznej i kulturalnej doprawdy — przeraża!

Jakaż jest pomysłowość chłopa w porównaniu z pomysłowością jego syna, inżyniera - agronoma? Ale ta druga nie przyjmuje założenia: „samemu sobie radzić". Przeciwnie, jest ona rezultatem zbiorowego i historycznego namysłu i uspołecznionego działania produkcyjnego. I zastosować da się w takiej tylko funkcji, która wymaga od wsi rezygnacji z tradycyjnej, jednostkowej wyłącznie pomysłowości i jednostkowego radzenia sobie.

3) Tymczasem Miłkowski i Solarz apoteozują ograniczony zasięg więzi społecznej na wsi, ograniczony zasięg społecznych form produkcji. „Moralnie i tradycyjnie należy gospodarstwo do wspólnoty rodzinnej... Prace wykonuje **każdy pospołu** pod naturalnie uznanym ze starszeństwa lub zdolności przewodnictwem kogoś z ojców czy rodzeństwa". I tu już koniec: wieś wygląda jak głowa słonecznika, rodziny — gospodarstwa niby ziarenka przylegają do siebie szczelnie, ale ich suma nie tworzy przez to pozarodzinnego systemu pracy, pozarodzinno - towarzyskiej i obrzędowej struktury życia społecznego. „Indywidualne gospodarstwo chłopskie wyrabia obok samodzielności i zaradności wiele **odpowiedzialności wzajemnej** choć na razie **tylko w rodzinie".** Otóż to!

4) „Chłop jest równocześnie i właścicielem i robotnikiem — rządzi i wykonuje w jednej osobie, jest najemnikiem u samego siebie, sam zarządza rezultatem swej pracy". To się Miłkowskiemu i Solarzowi bardzo podoba. Widzą w tym „dziwną tajemnicę łagodzenia przeciwieństw i tarć, jakie niepokoją i wywracają dotychczasowy ustrój społeczno - gospodarczy". Tajemnica jest łatwa do odcyfrowania. Kryje w sobie typ **gospodarki naturalnej — samowystarczalnej.** Zalecana światu jako lek, kojący tarcia i przeciwieństwa współczesnej ekonomii, oznacza ni mniej ni więcej jak powrót do epoki kołowrotków, co również zaleca Gandhi, bardzo po myśli imperialnych interesów W. Brytanii.

Miłkowski za Solarzem konserwuje gospodarstwo w jego popańszczyźnianym wegetowaniu poza rosnącym systemem industrialnych procesów ekonomicznych. Chłop w roli właściciela i robotnika wyraża typ funkcjonowania zamkniętego w sobie warsztatu, odciętego od rynku zbytu i zakupu. „Wynika to z naczelnego postulatu agraryzmu, aby każdy człowiek w przyszłym ustroju społecznym **żył z własnej pracy".**

5) Wszystkie cechy zmierzają do uwypuklenia zasadniczej **niezależności chłopa.** Nikomu i niczemu nie podlega. Nikomu niczego nie zawdzięcza. Sobiepan. „Jedną z nieocenionych wartości duchowych, jakie dać może posiadanie własności chłopskiego gospodarstwa jest poczucie i fakt niezależności osobistej czy wobec przemocy kapitału czy władzy politycznej". (S. cyt. przez M.)

Tu docieramy do znaczenia, w jakim agraryzm używa pojęcia „wolności osobistej". Być wolnym to tyle, **co nie wchodzić w wyższe powiązania społeczne.** Ale to wcale nie znaczy, że się jest społecznie niezależnym. I łudził się Solarz sądząc, że samodzielna gospodarka chłopska stanowi ostatnią ostoję wobec przemocy kapitalizmu i władzy politycznej. Po pierwsze — trudno zaprzeczyć, że gospodarstwo chłopskie powstało w wyniku walki społecznej i to walki, toczonej poza chłopską wsią. Gospodarstwo zrodziło zwycięstwo burżuazyjnej, liberalnej demokracji nad feudalizmem. Musiała być osłabiona agrarna i społeczna pozycja ziemiaństwa. Musiała gospodarka towarowa i pieniężna znaleźć obieg w całym społeczeństwie. Po drugie — kapitalizm a władza polityczna to nie są siły odrębne. Kapitalizm osiąga wpływy polityczne. Gospodarstwo chłopskie obok gheta lumpenproletariatu jest jego najtragiczniejszym wytworem. Decyduje o istnieniu potężnego rezerwuaru ludzkiego o najmniejszych potrzebach życiowych, wegetującego w najprymitywniejszych warunkach i zastępującego najtańszą siłą roboczą, koszta najmniej opłacalnych dla kapitalizmu inwestycji przemysłowych.

Czy Solarz i Miłkowski nie rozumieli, że rozwój oświaty na wsi zmieniłby społeczną funkcję gospodarstwa chłopskiego? Chociażby tak, jak w Danii, Szwecji czy Szwajcarii? Czy dla Miłkowskiego nie było jasne, że i samodzielność gospodarstwa tzn. posiadanie przez chłopa w niej wyłącznie oparcia społecznego i sztuczne hamowanie rozwoju oświaty na wsi było dziełem sił kapitalistycznych, osiąganym także poprzez politycznych figurantów? Czy dziełem tego samego łupieżcy nie była olbrzymia sieć pośrednictwa handlowego, żerującego na wsi? Nie była inwazja prywatnego przemysłu w zagony chłopskie? Suma summarum: izolowana, rozproszkowana, bezradna, samodzielna gospodarka chłopska stanowi warunek sine qua non, ale nie dla wsi.

6) Solarz dowodzi, że „chłopskie gospodarstwo wyrabia wiele wyraźniej osobowość człowieka". Wyraźniej, niż co? Niż fabryki, niż instytucje kultury, nauki, zdrowia, administracji? Miłkowski to potwierdza. Ale spod jego własnego pióra wyrywają się mimowoli oceny, druzgocące tak mozolnie budowaną fikcję agraryzmu.

Chłop „pracuje nad miarę fizycznie — **za mało jednak** w swój codzienny trud **wkłada wysiłku myślowego".**

Jakże jest więc z tą „pomysłowością"? Jak z „osobowością" pełniejszą tutaj, niż w zmechanizowanym obecnie mieście?

„Przy dzisiejszym systemie gospodarki rolnej chłop wraz z całą rodziną przygnieciony nadmiarem pracy fizycznej z natury rzeczy nie jest podatny do należytego rozwijania i kształcenia swojego umysłu".

Co to znaczy — dzisiejszy system gospodarki rolnej? Wyłożył go sam Miłkowski — rzeczywistość wiejska to elementarna, niezawisła, samowystarczalna komórka i jej mechanizm — „chłop, wszystko, co ma, zdobywa swą pracą i pracą swej rodziny".

Solarz mówi o odpowiedzialności społecznej, która jednak nie przekracza granic rodziny. Miłkowski, gdzieś tam na marginesie, wyznaje: „chłop dotychczas do wielu zagadnień bezpośrednio go obchodzących ustosunkowuje się biernie".

„Wieś zadawalniała się jedynie głosowaniem i biciem brawa na wiecach, trwając w biernym oczekiwaniu poprawy swojej doli — zwycięstwa obozu ludowego".

Oto konsekwencje odspołecznionej gospodarki chłopskiej.

7) Na tle tych niezamierzonych wyznań rozumiemy hasło „powrotu do ziemi, do praw przyrody". Miłkowski pisze: Chłop, „podpatrując prawa przyrody, w ustawicznym z nią współżyciu wyrabia w sobie poczucie praworządności w życiu gospodarczym i społeczno - obywatelskim. Jest elementem ładu i stałości i jako taki najlepszym fundamentem dla państwa".

Ale my już wiemy, że to podpatrywanie przyrody nie jest odkrywcze, bo spętane granicami rodzinnej gospodarki i nie tylko daleko mu do wyników naukowych instytutów, ale wręcz separuje się od nich, zakłada samowystarczalność własnej obserwacji, w którą wkłada „za mało jednak wysiłku myślowego". Rozumiemy, że występuje tu ten rodzaj współżycia z przyrodą, który przygniata nadmiarem pracy fizycznej, stwarza bierność umysłową i społeczną — „Trwanie w biernym oczekiwaniu poprawy doli". I taką praworządność podaje Miłkowski za fundament nowego ustroju? Taki ład i stałość są najlepsze dla państwa? Dla jakiego — pytamy — czy nie dla kapitalistycznego i to z drugiej albo trzeciej ręki?

8) Rozumiemy również mistyczną mgiełką owiane „przywiązanie do własnego zagonu", jako symbolu ziemi. Nikt nie przeczy, że środowisko i warsztat pracy wywołują trwały związek uczuciowy. Ale te prawa z równym powodzeniem odnoszą się i do innych zawodów i innego poza wiej-

*) Dokończenie pracy drukowanej w n-rze 1 (80) „Wsi", stanowiącej fragment książki „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej", wydanej w tych dniach nakładem Państw. Instytutu Wydawniczego.

skiego krajobrazu. Przywiązanie do ziemi wzmacnia tradycja rodzinna: orał ją również ojciec, dziad, pradziad... Ale na czymże ta tradycja polega? Miłkowskiemu wystarcza stwierdzenie faktu. „Chłop jedzie w świat na ciężką pracę i tułaczkę, aby tylko mógł dokupić kawałek ziemi, powiększyć swoje gospodarstwo". Czyni tak pod wpływem rodzinnej tradycji, która nie znała wyższych związków społecznych: gospodarczych, technicznych, kulturalnych, w której narzędzia i metody pracy były ustalone, tym samym ograniczone. Nie im zatem przypisywał zwiększenie dochodowości gospodarstwa, nie im podniesienie znaczenia w gromadzie i okolicy. Dlatego powiększenie ziemi, dlatego tylko ona w izolowanej gospodarce znaczyła dla niego wzniesienie materialne i społeczne.

Społeczne funkcje: lekarza, inżyniera-technika, agronoma, przemysłowca, spółdzielcy, wychowawcy nie miały zastosowania, nie wiązały się bowiem z tradycyjną rolą rodziny — gospodarstwa.

I takie przywiązanie do ziemi, takie „lepiej u siebie na barłogu..." stawia Miłkowski jako „punkt widzenia wsi" na nowy ustrój.

Część III.

Są przecież u Miłkowskiego projekty rozsądne. Żądał bez wykupu reformy rolnej, uspołecznienia przemysłu i banków. Żądał planowania w rolnictwie, reglamentacji, rejonizacji i specjalizacji.

Projekty te stoją jednak w jawnej sprzeczności zarówno z teorią dziejów, jaką wyznaje agraryzm, jak też z tradycyjną funkcją samodzielnego gospodarstwa chłopskiego, którą przyjmuje Miłkowski za punkt wyjścia nowego ustroju.

Zrobił on wszystko, aby zamknąć obie drogi przemian, jakie istnieją: drogę przekonania i drogę rewolucyjnego przymusu.

Drogę pierwszą zatarasował charakterystyką samodzielnego gospodarstwa. Bo co innego bronić zachowania prywatnej własności ziemi w rękach chłopów, a co innego bronić tej własności w jej popańszczyźnianej funkcji społeczno - gospodarczej. Stąd nie ma dobrowolnego wyjścia w z góry regulowaną produkcję rolną, nie ma wyjścia w specjalizację i rejonizację, które włączają warsztat chłopski w bardzo skomplikowane planowanie rolne i przesuwają go z produkcji na domowe potrzeby „z nadwyżkami" na produkcję towarową, określoną ekonomicznymi potrzebami kraju i naukowym orzeczeniem o rolniczej przydatności rejonu.

Miłkowski winien był sobie zdać sprawę, że jeżeli obecny system gospodarki rolnej jest pozostałością czasów średniowiecza, jeżeli produkuje się wszystko, co jest potrzebne w gospodarstwie domowym, to nowy ustrój nie może oprzeć się wyłącznie na „jednostce uświadomionej, dla której pobudką działania będzie nie sam interes osobisty, lecz również interes zorganizowanej całości". Ale nawet jednostki, które „mogłyby zdać sobie sprawę, że ograniczenie ich wolności w ostatecznym wyniku wyjdzie im na korzyść" zostały zbałamucone przez Miłkowskiego pochwałą konserwatywnego gospodarstwa. Wśród nich wywołał on niemałe pomieszanie pojęć, z czego dopiero dziś wyzwala się najmłodsze pokolenie wiciarzy. Jeszcze silniejszy wpływ uwsteczniający wywarł na tradycjonalistów.

Aby zrealizować planową gospodarkę rolną, winien był liczyć się z szerokim brakiem dobrowolności i zrozumienia na wsi i w dużym stopniu stawiać na rewolucyjne ustawodawstwo.

Drugą drogę zamknął sobie naczelną zasadą agraryzmu: wolności jednostki — równoznaczną z niewchodzeniem w wyższe i szersze związki społeczne i ekonomiczne jednostkowego gospodarstwa. Cała jego polemika z kapitalizmem i ruchem robotniczym stanowi świadectwo niezrozumienia roli rozszerzającego się na cały dziś naród nowoczesnego świata pracy. W rezultacie oplątał się wizją automatycznego upadku kapitalizmu, wraz z nim kultury zachodniej, rasy germańskiej i romańskiej, nieuniknionego przejęcia przodownictwa w Europie przez Słowiańszczyznę, a to znaczy przez rolników. Wmówił sobie, że misją słowiańskich chłopów jest powrócenie świata do ziemi i produkcji drobno - rolnej. Że ten proces rozwijać się będzie na wzór nawracania chrystusowego. Już świta odrodzenie moralności, która objawi się we wszystkich chłopach, apostołach nowego porządku i — „wniosek ostateczny jest taki, że przebudowa samej wsi musi się dokonać w oparciu o wolnego, samodzielnego i uspołecznionego człowieka wsiowego".

Wizja ta jest tromtadracją. Praktycznie oznacza jednak wycofanie się z walki z kapitalizmem na jego dawną pozycję klasycznego liberalizmu. Ale z tej pozycji zgłoszona deklaracja reform nie wykracza poza duszpasterski list do wiernych.

Bo co znaczą, przy założeniu „wolnego i samodzielnego człowieka wiejskiego" — retoryczne zwroty:

1. „organizacja wytwórczości rolnej musi iść w kierunku specjalizacji produkcji".

2. „Musi się dokonać zasadniczej przebudowy dotychczasowego systemu gospodarki rolnej w Polsce".

3. „W gospodarce planowej każdy człowiek zdolny do pracy musi znaleźć zatrudnienie".

4. „A więc jedni pójdą do rzemiosła, drudzy znajdą zatrudnienie w przedsiębiorstwach spółdzielczych, trzeci pójdą do miasta na studia, inni znów do rozbudowującego się przemysłu".

Za pozwoleniem, kto przemawia: moralista czy polityk? Jeżeli pierwszy, to jest to tylko — kazanie. Czekajmy na przebudowę psychiczną: na uświadomienie wszystkich jednostek i dobrowolne ich przystępowanie do planowej gospodarki.

Jeżeli polityk — to wie on po 1) że nie ma planowej gospodarki dotąd, dopóki nie obejmie ona całego terytorium i wszystkich gałęzi produkcji; po 2) dopóki nie opiera się o ustawodawstwo i sankcje karne. Inaczej mielibyśmy obraz chaosu zgłaszających w różnych terminach akces i w różnych terminach występujących z planu. I właśnie dlatego planowa gospodarka nie jest problemem moralnym, a społeczno - prawnym. Moralnie nie da się bowiem pogodzić obu tez: „wolny i samodzielny" oraz „musi się dokonać"... Miłkowski nie widział tej sprzeczności, bo dla niego wzorem dobrowolnie uspołecznionego działania była spółdzielczość, z jej chrześcijańsko - liberalną filozofią, były Abramowskiego idealistyczne spekulacje. Ale Abramowski budował czystą utopię. „Wartość nowej instytucji zależy zupełnie i wyłącznie od wartości ludzi, którzy ją tworzą". Najpierw więc ludzie uświadomieni, odpowiednio wartościowi i dobrowolnie przystępujący, potem dopiero instytucja, na której nie ma cienia przymusu i nakazu.

W dalszym praktycznym rozwinięciu teoria Abramowskiego prowadzi do walki z państwem na rzecz społeczeństwa bezpaństwowego.

I Miłkowski, wierny uczeń, ciągnie za mistrzem: reformy — tak. Ale ich twórcą winno być samo społeczeństwo, które poprzez dobrowolne organizacje, samorzutnie to tu, to tam, to tak, to inaczej będzie się zwolna zcalało w jeden organizm gospodarczy, który wreszcie uwieńczy wspólny plan i niewątpliwie zsynchronizowanie się tych większych gospodarczych i społecznych zespołów.

Miłkowski przedstawia nawet konstrukcje „samorządu gospodarczego", który nie narusza dobrowolności, wolności i samodzielności, choć i tu — raz przyjąwszy równowagę chwiejną — nie można się nie wywrócić. Dlatego już na najbliższym szczeblu samorządu przynależność do związku zawodowego (np. rolników) „winna być — według niego — uregulowana na drodze ustawowego przymusu". (?)

Z drugiej strony samorząd ten ubezpiecza „wolność jednostki" od... państwa. Na swoim szczycie posiada Izbę Gospodarczą, do której kompetencji należały: ogólny plan gospodarczy i kierunek polityki gospodarczej państwa, rozplanowanie zatrudnienia ludzi zdolnych do pracy, ona również byłaby właścicielem uspołecznionych warsztatów pracy i banków. Państwo spada tedy do roli czegoś, w rodzaju kokonu poczwarki, z której wylata gotowy motyl. Czysty zysk z fabryk szedłby na załogę robotników. W niektórych zatem fabrykach robotnicy mogliby zostać milionerami. Banki również stają się w pierwszej instancji własnością społecznych organizacji gospodarczych.

W tym programie mieści się cały Abramowski: moralista i liberał. Jeszcze raz pokazuje się, jak uparcie stał Miłkowski na pozycji liberalizmu i jak bardzo chciał go w Polsce odtworzyć na wzór, powiedzmy, angielski, gdzie w swoim czasie własnością akcjonariuszy były koleje, poczta, kanalizacja, ba, nawet Indie, kiedy ich historię pisał ojciec J. Stuarta Milla, przechodziły dopiero z prywatnych rąk Kompanii Wschodnich pod zarząd ministerstwa kolonii W. Brytanii. Ale znaczy to, że Miłkowski, mimo reformatorskich zapędów naprawdę stał na stanowisku: niewyważania wsi z jej popańszczyźnianych a częściowo jeszcze feudalnych stosunków produkcji.

Zemściło się na nim to, że nie dojrzał w samodzielnym gospodarstwie chłopskim rezultatu uwłaszczenia wsi. To znaczy, nie zrozumiał, że funkcję elementu wyznaczają procesy zmieniające położenie całej grupy. Nie można zatem oczekiwać przemiany całego systemu gospodarki rolnej, jeżeli mają one wychodzić z samodzielnych i wolnych w założeniu elementów gospodarczych ostatniego okresu historycznego, jakim są indywidualne gospodarstwa chłopskie. Przeciwnie, gospodarki te, nie tracąc tytułu prywatnej własności, muszą się znaleźć w powszechnie obowiązującej, nowej organizacji produkcji.

Po ukazach rządów zaborczych, znoszących pańszczyznę, proces zestrojenia się z nowym położeniem trwał długie dziesiątki lat, choć w interesie sił mieszczańsko - kapitalistycznych leżało jak najszybsze pojawienie się towaru chłopskiego na rynku miast i miasteczek, jak najszybszy wzrost jego produkcji dla zadzierzgnięcia wymiany towarowej i pieniężnej. A wiemy, że jeszcze w latach 80-tych odrętwienie gospodarcze nie znikało na wsi. Trwał pług drewniany, gospodarka nie rzadko trójpolowa, w Galicji wymierała corocznie połowa dzieci. Dopiero w latach 90-tych dają się zaobserwować korzyści z nowych stosunków produkcji.

Ale Miłkowski nie teoretyk, nie filozof — a przede wszystkim — działacz.

„Zagadnienie **urzeczywistnienia** zasad agraryzmu jest nierównie ważniejszą rzeczą, jak sformułowanie programu przebudowy społecznej".

Dlatego nie wytrzymuje do końca konsekwencji Abramowskiego. Realizacja tak głęboko sięgającego w życie programu reform może się dokonać tylko w jednym wypadku, a mianowicie, z chwilą zdobycia **władzy politycznej** przez zwolenników tego kierunku".

„Osiągnięcie władzy tą **czy inną drogą**, jest pierwszym etapem w walce o nowy ustrój".

„Stąd też nie ulega wątpliwości, że w okresie przejściowym uprawnienia władzy wykonawczej muszą być **wzmocnione**".

Jesteśmy tego samego zdania. Ale kto głosi konieczność nawet rewolucyjnego zdobycia władzy politycznej, kto żąda wzmocnienia władzy wykonawczej, ten przecież wraca do **koncepcji — państwa.**

Powrót jednak Miłkowskiego odbyć się może tylko przez **ośli most.**

W konsekwencji bowiem tego powrotu leży zrzeczenie się:

1) społeczeństwa bezpaństwowego
2) liberalistycznej wolności jednostki
3) niezmiennej funkcji indywidualnego gospodarstwa
4) autonomicznego rozwoju procesów produkcyjnych wsi.

Można rozumieć Miłkowskiego - zamachowca jeszcze w jeden sposób, jako — kontrrewolucjonistę.

Zdobyć władzę dla wsi konserwatywnej i choć metoda ta stoi w sprzeczności z ideologią agraryzmu: nie pogwałcania wolności jednostkowej i społecznej — utrwalić przy jej pomocy stosunki drobno kapitalistyczne, nie naruszając popańszczyźnianych stosunków produkcji na wsi.

Zamach taki oznaczałby jednak w stosunku do suwerenności narodu polskiego oddanie go na łup kapitalizmu imperialistycznego w roli europejskiej półkolonii. W stosunku do klasy robotniczej oznaczałby walkę na śmierć i życie.

Ale jasne jest dla nas, że Miłkowski - postępowiec w zakresie praktycznych reform, wikłał się i gubił pod naciskiem dwóch tradycji:

— jednej, drobnej produkcji i drobnej wymiany indywidualnych gospodarstw chłopskich, to jest tradycją rzeczywistości wiejskiej

— i drugiej, **kompensacyjnych mitów**, jakimi te warunki nadbudowywane zostały w myśli ludowej ostatniego półwiecza, tak przez działaczy z dołu, jak inteligencję, która, obrywający się fundament kultury szlacheckiej, chciała zastąpić w panice „powrotem do natury".

Dlatego na „agraryzm", a raczej na „miłkowszczyznę" musimy dziś patrzeć jak na dokument historyczny **dramatycznej szarpaniny duchowej** pokolenia wiciarzy z lat międzywojennych.

Jan Aleksander Król

Marian Kubicki

A no — po staremu

Chałupiny kole drogi.
Na podwórzach
świniaki, kury, wóz i gnój —
— jakoś tak, byle jak
jak ojcowie
tak i my
jednakowo.
Świat!
... tyle lat.

Wiosną robota i bieda
orka

latem robota.
żniwa

jesień robota i bieda
orka

zimą bieda
bieda

byle ino
jakoś tak
te ziemniaki
te zacierki
i ten chlebuś.

...jak grzbiet złamie
panie Boże chroń
suplikacją
Od powietrza, głodu, ognia i od wojny!

A tu
Świat się zwalił
gąsienice czołgów przerzynają pola
Messerschmidty jak bąki na niebie
a Katiusze śpiewały basem
paliły się miasta, lasy
i daleko stronami
rewolucje zakwitały ludzkim bólem
czerwonym kogutem
....zimny, jesienny październik —
Oktobrem ocalił.

a tu
dalej jakoś tak
byle ino
te ziemniaki, te zacierki
i ten chlebuś
byle zawsze, byle wciąż.
Psiakrew! 1944

Marianna Kościńska

CHAMKA

Fragment z powieści pt. „Wychowawcy"

PIŁKA toczyła się po gładkim dziedzińcu szkolnym. Mieniąc się kolorowo zbliżała się do miejsca, na którym stała studnia z pompą. Nim jednak miała się czas odbić o betonowe podmurowanie kilka uczennic podbiegło i kopało ją z piskiem na wyścigi, przeszkadzając sobie nawzajem w podjęciu jej z ziemi, że Marcysia podniosła się z nad szkolnego pulpitu, i stanęła przy okiennych kratach. Była sama w klasie. Oparła się bezczynnie o framugę okna i patrzyła w szkolne podwórze. Różnokolorowe sukienki rozbawionych w „konopki" dziewczynek odbijały jaskrawo od granatowych mundurków panienek spacerujących grupkami z godnością, jak przystało na seminarzystki. Marcysia bez zainteresowania śledziła ruch na dziedzińcu. Nagle przysunąwszy się bliżej, przylgnęła całym korpusem do szyby. Śledziła wszystko, co działo się dookoła studni z pompą. Bawiące się dotychczas w „konopki" pierwszoklasistki ujęły się za ręce i związały piskliwe koło:

— Dziewczyneczka moja mała
Czemuś oczka zapłakała?

Blada, wiejska dziewczynka, potrącana, odpychana przez pyszałkowate rówieśniczki stoi na boku. Ma ulizane z wiejska warkoczyki, podczesane w górę od karku, ściśnięte mocno skrawkiem; obszerna i długa spódnica z farbowanego siwego płótna leży na niej śmiesznie niezgrabnie; barchanowa bluzka jest napewno po starszej siostrze; buty, nawet buty. Wielkie juchtowe buciska z przyszczepkami są zasznurowane uczernionym sznurkiem, który wysmyknął się z za cholewek i bieli się nieuczernioną kluczką. Wsunięte lękliwie pod brodę piąstki dziewczynki rwą się do koła. A nogi posuwają się niezgrabnie pod ścianą w cień. Ręce Marcysi popchnęły się ku szybie. Pobiegnąć? Wtłoczyć wiejską sztubaczkę przemocą do koła? Lecz trzyma ręce na szybie. Pobiegnąć? Ale chucha po szybie. Uchodząca za fenomen w równoczesnym bardzo zręcznym pisaniu obiema rękami, zaczęła wodzić palcami obu rąk po odchuchanym wilgotnym miejscu. Malowała „Ch" i „P" biegnące w lewo i w prawo. Zdawaćby się mogło, że to zajęcie pochłania wyłącznie jej myśli: z przykulonymi lekko plecami i z wtuloną w ramiona głową wodziła palcami powoli i z wielkim upodobaniem. Poza artystycznym „Ch" biegnącym w lewo i artystycznym „P" biegnącym w prawo nie obchodziło ją nic. Nie myślała o niczym tylko o dwóch literach, które przybierały formę inicjałów. Ale tak chętnie biegłaby w podwórze. Pobiegnąć? Wolno jej przecież obesztać pyszałkowate mikruski! Jest przecież siedmioklasistką! Pobiegnąć? Ale rysuje po szybie i śmieje się jakimś bardzo starym śmiechem. Bo buty! Nawet buty! Wielkie juchtowe buciory z przyszczypkami zasznurowane źle uczernionym sznurkiem! Pobiegnąć?

Pobiegnąć?....

. . . .

Wdziewała na się w dyrdy katańkę, z barchytu spódnickę farbówkę zbiorowaną, chusteckę biołą w różowe kółka i Wojtkowe łońskie buty z przyscypkami.

— Nie podę w Wojtkowych butach! — zbuntowała się — Takie bryćkie!... Zezuję ik nazod!

Wojtek akurat okrąco culki i wzuwo Marcysine nowiućkie buty z wielgom paradom.

— To podzies boso... Stuba! Cymboły do skoły! Stuba! — dozyro jej jesce.

Rozpajerzono do reśty rozdarła się na całe garło:

— Tyś stuba!

— Jo już idę do trzecie... Stuba jest ino w piyrszy klasie...

— Na drugi rok tys bedę chodziła do trzecie!

— Nieprowda — bo jak przejdzies, to do drugie!

— Nieprowda — bo do trzecie!

Brata wzięła złość. Tako nejdula bedzie sie s niem przegorzała! Doskakuje ku nij i pierze ją pięściom po plecach jaze wszyćko w nij brzęcy.

To wiycie tak było: mama kozali zrobić lo Marcysie nowe buty Sufcokowi. Sufcok jak Sufcok — zrobił buty na wyrost takie okropy zeby ik zezuć nawet nie musiała. Same by z nóg ślazły! Lotego dostały sie Wojtkowi, a Marcysia musiała przystać na ladace łońskie buty brata na niego juz przyciasnawe. I, nie dziwota ze obuwała buciary z bekiem.

W kołysce rogoto sie Zosia. Zesmarkała sie. Pocicioroła sie caluśko. I pomogo muzyce:

— La ta ta ta!

— Ej brzesc te bołdy brzescą! — purycuje znowu największy gazda w chałupie. Wojtek — Cos ta mama tela dasy siedzą w tem śpiklyrzyku?... Pobaw ją trochu — przykozoł dziopinie.

Rada nie rada okręciła się okłuskom i wzięła Zosię na ręce. Husiała ją, ucisała, to znowu brekała na nią:

— Nie posiurej mnie! Widzis ze idę do skoły... Nie drzyj sie! — Polazła ś niom do kuchnie ku blase.

Tata śpiuwajęcy kraskają sie welo blachy. Zaziyrają pod pokrywki, kieryniają rogolem pycący cyr w zeleźniosku, pilnują świńskik zimnioków wstawionyk na dziurę.

— Z pokłonem Panno święta okfiaruję Tobie... — klękli dłubią potykiem we fajce.

Marcysia sie rozsiadła na niskiem stołecku. Otwarła dźwicki od blachy i przyspiywując wiela tela tajcu rabowiała dziecko ogarkami.

Z miareckom opowanego jęcmienia wleźli mama do chaupy. Poziyrają po gazdującej sie welo nolepy celadzi, położyli miareckie na skrzyni i uwijają sie welo śniadanio.

— Idze stela! — siepnęli sie ku ojcu. — Nie potrza zebyś mi gągoł do zeleźniocków!... Zastępujes mi jacy! Pocierze sie śpiywej w izdebce przy świętyk obrazak! Tlący sie ogarek wylecioł na posodzkę. Tata podciągają portki na brzuchu. Roztrebusili ogarek i dżysnęli bez zęby:

— Jasne wonity! — krackają sie ku izdebce. Przy świętyk obrazak pieronowali: — Slaksen trefen! góralskie plemię samojedniki! Co mnie ta zamomiło ku ni, mnie! Kocioloka! ku taki ozypie! Zackoj! zackoj!... jo — ci! jaze fyrtnies! — wygrozują sie!

— A i ty sie nie balantej welo nalepy! 'dostało sie dziopinie za pieronowanie. Wróś Zosię do kołyski i zmów pociorek. Musis sie uwinąć do skoły... — poźreli ku nij matka ju łocuz.

Marcysi nie musiało sie o skole dwa razy przypominać. Dzisiejsego rana była usłuchniąco jak nigdy. Brysnąła dzieckiem i uklęlsa nabożnie na progu izdebki.

— Łojcy nas ftoryś jest w niebie święćcie... jako i my odpuscomy nasem winołajcom...

— Tato co to są te jakoimy? — rozdziawiła gębę ku łojcu.

Skurceni na krawedzi pościeli poźreli łociec na dziepinę.

— Zezny mnie ta baba zezny — mamrają do sie.

Tymczasem Wojtek skończył śniodać. Kładzie łyskę na stole. Tyrpnął miskę od się i wstaje z ławy. Choć chodoki gwizdają na niego z pola nie pieckoł się; przysuwo sie do proga.

— Ej bejdula głupio, nie wiy co to są jakoimy?! naśmieywo sie ze siostry.

— No co?

— Janioły!

— Janioły?

— A juści!

— Jakie tam janioły jakie? — wmiysiali sie wreście i łociec do pogworki. — Jakoimy to są...

— Sami nawet nie wiycie...! — rozkracony Wojtek wsuwo corną głowę welo drzwi w izdebkę i przemądrzaniem. — No powiydźcie — co...?

Łociec dumo.

Mądrala sie zaś rozwodzi:

— W niebie są cejnie jakie janioły: jarchanioły, cherobiny, serafiny, jaimy i jesce inkie... Najlepiej są utrafione jarchanioły — jak zodne! Tak jak w piekle są cejnie jakie djobły: jancykrysty, lucypery i jesce inse...

— A ftore djobły są najlepi utrafione? — pieckała się Marcysia.

— Jancykrysty!

Kłapciały kapelus łojca trzepnął rozkraconego Wojtka:

— Idzie psia... jo ci...! — zamiyrzają się na chodoka — Nie płyć dziopie poza usy — niek końcy pociyrz! Nigdy sie z matkom nie wypiestrają do skoły... Ten stary borchoł sie nie wyreligo! — bo blusnęli na mamę jak nieprzymirzający na dzikiego zwieyrza.

— Na całe brekanie taty rozlegało się po chaupie:

Zielony mostecek ugina się
Na niem trowka rośnie nie kosie się!

I śpiywka sie rozniesła po gościńcu między chodarusami.

Zielony mostecek ugina się
Na niem trowka rośnie nie kosie się!
Na niem trowka rośnie nie kosie się!

Syrokiem pocekajskiem gościeńcem odprowodzali mama Marysie do skoły. Jednum rękom trzymała sie trocków mamine krociane chustki a w drugij dwa rysiki. Ciesyła sie tys to kobiołkom, ciesyła! Obzywała ją cały tamten tydzień. Wyjmowała książkę, tablickę i pórnik, to znowu wrozała nazod do kobiołki. Nikt o takie mioł nie będze! Teroz opatrowało cyrwone i zielone kosteczki namalowane na wiyrchu, na słomie. Całą drogę tukała na mamę:

— Pódzies sporo! Zojdemy nie rychło! Matce sie nie poliło.

— Najys sie te skoły, najys... — prorokowała — Niek ci nie bedzie piecka...

— Co ty ta! — przemądrzała sie dziopina. — Bedę miała kolezanki — prowda? Co tys to bedą za dziopki? Pewnie basz dobre i ładne?... Bedą mie lubiały? — zapobiygała matce droge, plątała sie popod nogi.

— Będą.

— Dom jom placka — musą być lo mnie dobre.

W ulicy uźrała dwie panie w kapelusak. Obie panie mają głowy przebite na wylot sydłami.

Marcysia z dawna boła sie spicastyk kapelusowyk sydoł. Totys poziyro ku matce ze strachem i medytuje głośno:

— Może te sydła są lo parady — wrażone po wiyrchu, w cubę jacy?

— To lo parady, ale nojbardziej na to zeby sie kapeluse głowy trzymały.

— To widać wbite są jaze w głowę?!

— A ino.

— Ranyścienie! — syknęła z przejęciem. Nie będę nigdy chodziła w kapelusie! — zarzekła sie sumiennie.

Matka przystanęli i podciągają dziopinie chusteckę w śpicyk do przodu.

— Po coz ci kapelus? W kapelusie zimno w usy — persadują; i głosnęli ją wiela tela po chuścinie.

Rusyły. Marcysia pokryjomu, tak zeby sie matka nie spenetrowali podciągnęła znowu chuścinę na swoją modłę: do zadu. Spusco głowe ku ziemi:

— Roz ją mama nastrasyli, ze se kupią kapelus ze sydłem taki jak miała zydówka ze ślabantu. Zanosiła sie wtedy od beku: nie kce! nie do mamie przebić sydłem głowy! Mamie barz ładnie w chustecce! Z pod chustecki wypuści corne kręcone włosy — i wtencos jest tako ślicno jak młodo dziywka w gorsycie.

Znienawidziła zydówkę ze ślabantu za kapelus z sydłem. Wielo razy ino przejyzdzała żydówka brykom — wylatowała za stajnię i holokała na całe garło.

— Ooo dydy ooo dydy
Skrzywiły sie zydy
Od cegooos taaakiego?
Od zuru kwaśnego!

Koło Sufcokowe chaupy zrównała sie z kapelusowemu paniami. Poprody pań leciały dwie dziopki w króciutkik sukienkak, płytkik trzewikak i smacianyk biołyk copeckak. Na plecak niesły torby. Gąbki z bielućkiemi smatkami wypuściły na wiyrek.

Marcysia zawstydziła sie wsioskiego ubranio, a nojbardziej już Wojtkowyk łońskik butów z przyscypkami.

Miejskie panie obeźrały sie za mamom.

—Cóz to Kacialino odprowodzocie i waszom córe do szkoły? — opatrują zewstydzoną dzopinę dokumentnie.

— Odprowadzom. Juz jej na siódmy rok idzie.

— Zapisaliście jom do klosztoru czy do fary?

— Do klostorum jom zapisała.

— Wiycie... wiycie... — dziwuje sie pani Gajdziono. — Trza jom było zapisać do fary — sypie prowde w oczy pani Wajdzino. — W miejski szkole przy farze pozapisowały sie biydniejsze dziopiynta. Klosztor jest lo lepszyk dzieci... Wsioskie dziopie miyndzy paniynkami nie bedzie posowało... Klosztor jest lo pajskik dzieci!

Kosialino osowiała.

— A juści... Trza ją było zapisać do fary — załowała zapisu Marcysie. — Ludzie mnie zbałamuciły ze to niby w klostorze zokonnicki lepij ucą i lo dzieci mają serce.

— A majom, majom — poglądają panie z drwinami. — Ino nie lo biydnyk, ale lo lepszyk. Lo moje Mancie... — rozanieliła sie pani Gajdzino. — I lo moje Kundzie — pisnyła ostro Wajdzino.

— Kocialino zesmutniała setnie.

— Tak wej, biydnemu kozdy podorzko... Nie bedzie mi mioł fto odprowadzić Marcysie nazod — labiydzi — Piyrsy roz idzie do miasta. Nie trafi sama do chaupy. Jo tak nimom casu iść po nię potniem do skoły...

— Podzie z mojom Manciom... I z mojom Kundziom — obiecały mieszczanki. — Przykożymy naszym paniynkom żeby się waszom dziopinom zaopiakowały — przyrzekły z pańska.

. . . .

Ręka Marcysi zajęta inicjałami zesztywniała. Jednak rysowała bez przerwy, z wielkim upodobaniem. Pochylała „Ch". Zginała go w plecach po chamsku. Tak jak spłaszczyły się plecy matki w podzięce siedem lat temu wstecz. Po chamsku. W niskich ukłonach serdecznie. Mimo, że z oczu miejskich pań śmiga gardząca złość.

— Tako chamka pcho sie miyndzy panie. Do klosztoru miyndzy lepsze wnynciła dziope. Przywlekła sie ze wsi — ostawiła pod mostym krypce — i wlazła do Poczekaja. Górolka wychowano na owsie i żyntycy! Dziodówka! Tu sie bedzie rozpiyrała!

Położona płasko na szybie dłoń Marcysi zaczęła ścierać artystyczne inicjały. Jakby rozgniewana ścierała mocno przypłaszczone lewe „ch"' i wyprostowane dumne „P". Z przylepionym do szyby czołem patrzyła tępo w szkolne podwórze. Odtrącana przez pyszałkowate koleżanki mała dziewczynka w wielkich juchtowych buciskach stoi pod okratowanymi oknami cel klasztornych wciśnięta w zbiegający się narożnik ścian. Nogi siedmioklasistki rwą się do skoku w podwórze. Pobiegnąć? Ale zniecierpliwiona bezczynnością odchuchała miejsce na szybie i zaczęła na nowo rysować inicjały. Pobiegnąć?

Pobiegnąć?

. . . .

Stała pod okratowanymi oknami cel klasztornych, po wymarszu z kościoła. Ale nie trzymała za rękę różowej pukielkowatej blondynki w czarwonym feziku, którą jej przeznaczono w pary. Dziewczynka się od niej odsuwała. Różnokolorowe sukienki i czapeczki dziewczynek odbijają jaskrawo od granatowych mundurków i znaczonych złotymi literami beretów panienek, zapełniających obszerne, klasztorne podwórze. Stubaczki rozglądają się ciekawie wokoło. Wpatrywały się w rozłożystą lipę, pod którą znajdowała się studnia z pompą, w długie z żelaznymi balaskami balkony oficyn; śmielsze zaglądają do okratowanych okien cel. Marcysia utkwiła wzrok w przechadzającej się wzdłuż par pannie ze znaczkiem na czapce. Z włożonymi w kieszenie żakietu rękami rzucała uwagi i uśmiechy z miną nauczycielki. Gdy się zbliżała do pierwszych par przystawała koło wypieszczonej ładnie ubranej dziewczynki, rozmawia z nią przymilnie. I idzie dalej kołysząc się lekko. Wreszcie stanęła na przedzie jak oficer przed ćwiczącym wojskiem, podnosi dumnie głowę:

— Dopiero jutro o ósmej godzinie zacznie się nauka; Teraz uczennice rozejdą się do domów! Nie wolno się spaźniać! — rzuciła rozbiegającym się uczennicom ostre słowa rozkazu:

Dziewczynki rozbiegają się grupkami. Rozmawiają i gestykulują żywo i wesoło. Marcysia została sama. Nie miała tu nikogo — żadnej koleżanki.

— Gdzie jest ta Mancie i Kondzia? — ozywo sie dookulutka. Miały ją przecie zaprowadzić do chaupy...

Niestety Mancia z Kundzią pobiegły naprzód. Marcysia dostrzegła obie rówieśniczki chowające się do bramy jakiegoś domu. Przyśpiesza kroku. Stanęła przed bramą. Czeka na koleżanki — i raptownie zbladła.

— Kościalonka bez ogonka.

Wystaw zadek do słonka! — wystawiają panienki pyszczki z za szerokik wrót, chichały.

Marcysia oblana szkarłatem, to znów blada naprzemian stała chwilę z zamętem w głowie. Spuściła oczy ku Wojtkowym butom — śmieją się ś niej! Wreszcie rusza przed siebie apatycznie. Dopiero koło farnego kościoła zauważa grupkę dziewczynek idących jakąś ulicą. Poszła za nimi.

Koło kościoła kończyły się domki. Pusty gościniec przecinający orne pola i ścierniska zachęca dzewczynkę do dalszej drogi. W dali na wgórzu pociągają ją świerki na niebios tle. Iglaste drzewa zwodziły ją:

— To będzie hań! Nasa chaupa stoji welo lasa!...

I tak szła i szła i szła — aż weszła na szyny kolejowe.

— Ej to cheba nie tutok...? Kolyj idzie na Sopordzice.... dumała; przypominała se jak to tata wzięli ją łońskiego roku na barana do Sopardzic do ssoka i śli z niom karwas drogi synami — Korościennie! pobądziłam se hetki... spenetrowała sie; wraco sie nazod.

Zerwał się wicher i niósł tumany kurzu prosto w twarz dziecka. Marcysia boryka się z wiatrem. Ale brnie środkiem gościńca przed siebie. Proch gościńca zasypuje jej oczy. Wiatr powiewa zbiorowaną, przydługą spódniczką i białą chusteczką w różowe kółka. Kobiałkę trzyma kurczowo w obu rączynach — ten wielki skarb zdany na pastwę wiatru.

W dali gościńca zamajaczył mały punkcik i zbliża się ku dziewczynce. Marcysia wspięta na palcach wypatruje w dal swoje nieduże bure oczka.

— Rany pany! Jakosi dziopka idzie i niesie zbanek! Polecę ku nij — pomyślała se i leci w dyrdy naprzód.

Tejże samej chwili panna także przyśpieszyła kroku.

(Ciąg dalszy na str. 7-ej)

Mieczysław Kokoszkiewicz

Struktura organizacyjna spółdzielczości wiejskiej*)

1. Punkt wyjścia: porozumienie między „Społem" a Z. S. Chł.

W myśl porozumienia z dnia 8 marca 1946 r., zawartego między Związkiem Gospodarczym Spółdzielni R. P. „Społem", a Związkiem Samopomocy Chłopskiej — Związek „Społem" jest zjednoczoną centralą spółdzielczą wsi i miast, a Związek Samopomocy Chłopskiej, jako jedyna organizacja rolnicza, reprezentuje interesy wsi wobec zjednoczonej centrali „Społem".

Związek „Społem" zgodnie z zawartym porozumieniem zobowiązał się do zmiany struktury organizacyjnej spółdzielczości w tym kierunku, aby utrzymana została równowaga wsi i miasta — przy czym postanowiono już w ramach istniejących przepisów przystąpić do realizowania tej zasady.

Przede wszystkim z uwagi na odrębność interesów i dążeń spółdzielczości wiejskiej, utworzony został wewnątrz Związku „Społem" odcinek wiejski, który obejmuje wydziały: rolniczy, przemysłowo - rolny i mleczarsko - jajczarski z Komisją Wiejską na czele, która ma za zadanie koordynować prace tych wydziałów, aby działały one zgodnie z polityką chłopskiego ruchu zawodowego, zorganizowanego w Związku Samopomocy Chłopskiej.

Przyjęcie przez Związek „Społem" zasady zmiany struktury organizacyjnej spółdzielczości wiejskiej oraz natychmiastowe przystąpienie do jej realizacji na odcinku centrali Związku „Społem" i na jego Okręgach, skłoniło w konsekwencji Związek Samopomocy Chłopskiej do likwidacji własnej centrali gospodarczej Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, powołanej dla uruchomienia przemysłu rolnego i prowadzenia działu zbytu i zaopatrzenia dla rolnictwa.

W ten sposób usunięto dublowanie w pracy spółdzielczej na odcinku wiejskim, a poza tym stworzono trwałe podstawy dla jedności ruchu spółdzielczego, tak niezbędnego w pracy w zakresie przebudowy gospodarczej wsi.

Zakres pracy Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej objął nowy wydział w Związku „Społem" Wydział Przemysłowo - Rolny, którego działalność, w myśl zawartego porozumienia będzie pokrywała się „z zakresem ustalonym w statucie Zrzeszenia" t.j. będzie on prowadził obsługę spółdzielni samopomocy chłopskiej.

Zawarte porozumienie jasno określa strukturę organizacyjną spółdzielczości na odcinku wiejskim, opartą na przyjęciu przez Związek „Społem" zasadniczej tezy Związku Samopomocy Chłopskiej — **jedna centrala spółdzielcza — jedna hurtownia w powiecie — jedna spółdzielnia w gminie.**

Porozumienie ustala **podstawową** spółdzielnię dla mieszkańców wsi — gminne spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, które Związek „Społem" uznaje „za podstawowe ogniwa spółdzielczości wiejskiej i będzie popierał ich rozwój".

Zgodnie z zawartym porozumieniem dla opracowania zasad przebudowy spółdzielczości na wsi w myśl przyjętych tez, winna być powołana specjalna komisja, składająca się z przedstawicieli Związku Rewizyjnego, Związku Samopomocy Chłopskiej i Związku „Społem".

2. Jedność ruchu spółdzielczego — to jednolita organizacja spółdzielcza na wsi.

2 Kongres Związku Samopomocy Chłopskiej, uznając potrzeby jednolitości ruchu spółdzielczego i przyjmując do wiadomości porozumienie, zawarte ze Związkiem „Społem", zastrzegł wyraźnie, aby przyszła struktura spółdzielczości na wsi oparta była na następującej podstawie: „na terenie wiejskim spółdzielczość w gminach i w powiatach, spółdzielnie rolniczo - handlowe obejmują uniwersalne spółdzielnie gminne i powiatowe spółdzielnie rolniczo - handlowe Samopomocy Chłopskiej".

Utworzenie jednolitej organizacji spółdzielczej na terenie wsi jest taką samą koniecznością, jaką było zjednoczenie central gospodarczych i dalsze utrzymanie na wsi kilkutorowej pracy spółdzielczej — zagraża nie tylko **jedności ruchu spółdzielczego,** ale osłabia wieś pod względem **gospodarczym jak i społecznym** oraz rozbija wysiłki potrzebne dla jej przebudowy.

Na terenie wsi mogą istnieć jedynie gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej, których uniwersalny charakter statutowy — daje im możność **faktycznego załatwiania wszystkich potrzeb rolników — spożywców i wytwórców surowca rolniczego.**

Gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej posiadają statut organizacyjny, przystosowany do potrzeb gospodarczych i zawodowych chłopów — jako rolników; odpowiada on również swym warunkom społeczno - politycznym.

Działalność gminnych spółdzielni samopomocy chłopskiej, oparta na statucie przyjętym dla tych spółdzielni, umożliwia im prowadzenie odcinka przemysłowo - rolnego w celu podniesienia **dochodowości produkcji rolniczej** oraz odcinka handlowo - rolnego dla zaopatrzenia w **surowiec warsztatów rolnych i umożliwienia zbytu wytwórczości tych** warsztatów.

Tej działalności nie prowadzą spółdzielnie innych typów, istniejące obecnie na wsi i brak gminnych spółdzielni samopomocy chłopskiej spowodowałby w konsekwencji załamanie się pracy Wydziału Przemysłowo - Rolnego Związku „Społem", gdyż pozbawiony byłby on swoich terenowych organizacji, na których oparta jest jego działalność w zakresie specjalizacji produkcji rolnej, odbudowy przemysłu rolnego dla przetwarzania nadwyżki surowca spożywczego oraz przemysłu pomocniczego, potrzebnego dla odbudowy wsi.

Wstrzymanie całkowite względnie odłożenie na przyszłość stworzenia jednolitej struktury spółdzielczości na wsi, odpowiadającej tezie Związku Samopomocy Chłopskiej — jedna centrala spółdzielcza — jedna hurtownia w powiecie — jedna spółdzielnia w gminie — spowodowałoby niewątpliwie w konsekwencji załamanie się jednej z dwóch podstawowych zasad wypływających z porozumienia z dnia 8 marca 1946, tj. zasady jedności ruchu spółdzielczego, a tym samym praktycznie przekreśliłoby samo porozumienie.

3. Bezpłodne przytakiwanie czy natychmiastowe realizowanie?

Do utrzymania zasady jedności ruchu spółdzielczego:

1) nie wystarczy przyjęcie przez „Społem" tezy, że „gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej są podstawowymi komórkami spółdzielczości na wsi i że będą korzystać z pełnego poparcia **Społem"** — lecz koniecznym jest przystąpienie w porozumieniu ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej i Związkiem Rewizyjnym do **natychmiastowego wprowadzenia** w życie przyjętej tezy,

2) nie wystarczy uznanie „na dzisiaj" przez **Społem** dążenia Związku Samopomocy Chłopskiej do tego rodzaju struktury ruchu na wsi pod warunkiem, że będzie to organizowane ewolucją nie „rewolucją" i że „przebudowa nie wyprzedzi rozwoju umysłowego na wsi", — lecz koniecznym jest:

a) natychmiastowe wstrzymanie dalszej organizacji nowych spółdzielni spożywców na wsi,

b) bezzwłoczne przystąpienie wspólnie ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej i Związkiem Rewizyjnym do przekształcenia metodą spółdzielczą i demokratyczną przez walne zebrania — spółdzielni spożywców i rejonowych spółdzielń rolniczo-handlowych na gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej,

c) tworzenie kursów przeszkoleniowych dla zwiększenia liczby ludzi zdolnych do opanowania kierownictwa uniwersalnymi spółdzielniami.

Obecnie na terenie wsi istnieją: gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej, spółdzielnie spożywców, spółdzielnie rolniczo - handlowe, spółdzielnie mleczarsko - jajczarskie, spółdzielnie kredytowe i td.

Między tymi spółdzielniami nie ma żadnej współpracy i harmonii, a znacznie częściej występuje konkurencja zarówno o charakterze gospodarczym jak i politycznym — przy czym unikają one współpracy ze Związkiem „Społem" i jakkolwiek są członkami tego Związku, zaopatrują się na tzw. „wolnym rynku".

4. U mety ujednolicenia spółdzielczości na wsi.

Realizowanie linii ujednolicenia spółdzielczości wiejskiej w ramach gminnych spółdzielni samopomocy chłopskiej przeprowadzić należy w ten sposób:

1) W gminach, w których istnieją gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej, spółdzielnie spożywców, będące w gromadach połączone byłyby z gminnymi spółdzielniami samopomocy chłopskiej z tym, że w gromadach powstały by filie tych spółdzielni, jako sklepy spółdzielcze,

2) w gminach, w których nie istnieją gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej, powstałyby one przez przekształcenie się spółdzielni spożywców w gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej, a w gromadach pozostałyby również filie tych spółdzielni — sklepy rozdzielcze,

3) w gminach, w których mają siedziby rejonowe spółdzielnie rolniczo - handlowe, spółdzielnie te połączyłyby się również z miejscową gminną spółdzielnią samopomocy chłopskiej, tworząc łącznie ze spółdzielniami spożywców jedną spółdzielnię na terenie tej gminy — członkom zaś rejonowej spółdzielni rolniczo - handlowej z innych gmin zwrócone byłyby ich udziały,

4) w gminach, w których spółdzielnie spożywców nie posiadają członków-rolników — odnosi się to do osad robotniczych — spółdzielnie te pozostałyby nadal jako spółdzielnie spożywców i nie podlegają połączeniu z gminnymi spółdzielniami samopomocy chłopskiej,

5) w gminach, w których istnieją spółdzielnie kredytowe wiejskie, połączenie ich z uniwersalnymi gminnymi spółdzielniami samopomocy chłopskiej nastąpiłoby po stworzeniu w tych spółdzielniach działalności kredytowej,

6) w gminach, w których istnieją spółdzielnie mleczarsko- jajczarskie, względnie inne spółdzielnie branżowe — połączenie ich z uniwersalnymi gminnymi spółdz. sam. chł. nastąpiłoby po stworzeniu w tych spółdzielniach odnośnej działalności branżowej,

7) w gminach jednogromadzkich, w których nie ma gminnej spółdz. samopomocy chłopskiej, istniejące spółdzielnie spożywców zostałyby przekształcone w gminne spółdzielnie samopomocy chłopskiej,

8) w gminach, w których gminne spółdzielnie sam. chł. prowadzą tylko odcinek przemysłowo - rolny — zagospodarowanie resztówek poparcelacyjnych — połączenie ze spółdzielniami spożywców — automatycznie rozszerzyłoby zakres pracy i na odcinku handlowo - rolniczym,

9) przeprowadzenie unifikacji spółdzielczości wiejskiej przez łączenie spółdzielni spożywców i rejonowych spółdzielni rolniczo - handlowych z istniejącymi już gminnymi spółdzielniami samopomocy chłopskiej, następowałoby w drodze przewidzianej ustawą o spółdzielczości przy technicznej pomocy ze strony Związku Rewizyjnego, Związku „Społem" i Związku Samopomocy Chłopskiej.

W ten sposób przeprowadzenie zjednoczenia spółdzielczości wiejskiej w ramach gminnych spółdzielni samopomocy chłopskiej:

1) dokonane byłoby z zachowaniem elementów natury prawnej (statutowej) finansowej oraz organizacyjnej,

2) stworzyłoby to na terenie wsi jednolitą spółdzielczość wiejską w formie gminnej spółdzielni samopomocy chłopskiej z filiami gromadzkimi,

3) utrzymałoby **uniwersalny** charakter spółdzielczości wiejskiej, która gwarantuje rolnikom właściwe załatwianie ich potrzeb gospodarczych,

4) stworzyłoby zdrowe podstawy dla spółdzielczości wiejskiej, w których rolnik jako spożywca i jako producent, byłby członkiem tylko **jednej** spółdzielni, mającej charakter zawodowy.

*) W związku z dyskusją, jaka się toczy ostatnio na temat organizacji struktury spółdzielczości wiejskiej podajemy artykuł M. Kokoszkiewicza, znanego działacza spółdzielczego. (Redakcja).

(Dokończenie ze str. 6-ej)

Twarz Marcysi mokra była od łez, a w piersiach rwał się oddech, kiedy spadła wprost w ramiona nieznajomej wybawicielki.

Zaciekawiona panna kładzie dzbanek na dziemi, schyliła się.

— Czemu płaczesz dziewczynko? Schyliła się niżej, przykucnęła. — Gdzie mieszkasz? jak się nazywasz? — zarzuca Marcysię pytaniami.

Marcysia płacze. I dyszy ciężko. Wreszcie wyrzuciła ze siebie jednym tchem.

— Nie moge trafić do chaupy. Nie wiem, gdzie jest nasa chaupa. My siedziemy na Pocelajski ulicy jaze welo lassa. Pise sie Kocialonka.

— A co masz w koszyczku?

— Tablickę i książkę. Słam ze skoły i płobądziłam.

Modre oczy panienki nabiegają wyrazem współczucia.

— Codźmy — ujęła małą rączkę — Zaprowadzę cię do domu. Nie płacz — ucisza rozżaloną biedulinkę.

Marcysia poweselała natychmiast. Idzie raźno. Opowiada o wszystkim szczegółowo; z najdrobniejszymi szczegółami opowiadała o niedobrych koleżankach Manci i Kondzi.

— Ładny masz koszyczek — przychwaliła skarb opiekunka.

Marcysia jest w siódmym niebie. Uszczęśliwiona ogląda co chwila kolorowe kostki kobiałki błyszczące zdaleka na lśniącej słomie.

Od pagórka w dół Kociatów chaupa blisko. Stamtela ją widać nojlepij: ha mok! Rozesłała sie welo keplicki z dobrom pannom i puściła sie galopem w dół.

— Tata malują dźwij od gościeńca brondzowom farbom! Przed dźwiami stanął pon Maślanka i wywijo lozeckom na wszyćkie strony! Opatruje... medytuje...

— Kociała jabym na waszym miejscu malował na czarno — wymedytował.

Tata sie obruszyli. Taki dziod krojsetny bedzie jom przyganioł! Widzicie go... pon!

— Cheba ryć! — pozbowali sie — Maluję nie lo parady jacy! Cyrki dźwij do cysta zjadły — trza ik trochu ściorać farbom bedą mocniejse — obracają sie do pana ryciom.

Pon medytował jesce — wreście zabrywo sie ku miastu. Pilno mu do telefonu na pocte.

Tata poźreli za panem zdziornie.

— Ho ho ho! Telefonować idzie... Wielgi pon chorościna!... — splunęli i lagom siarcyście jaze pod kalenicę — Telefonować idzie! Przyłozy corną trąbkę z kółkiem do ucha: halo, halo halo! halohaoohalo! przedrzyźniają sie — Wielgi pon! Dziod krojsetny! Telefonem sie bedzie do mnie przekwoloł! Widziołem telefon piyrwy od niego... U pana Nawratyła na zorządzie... U Taljanów jakem był na wojnie dosiem sie temu gwaryjastwu napatrzoł... Somem nawet telefonowoł! Nie zodno ştuka! — splunęli jesce roz i zaroz sie jom na wnatrzu odmieniło.

Marianna Kościńska

JAKIEJ POWIEŚCI CHCE

Piotr Ożarowski (Złaków Borowy pod Łowiczem):

Odpowiadając na wezwanie konkursowe „Wsi" z dnia 10.2 1946 roku, przesyłam niniejszym swoje uwagi i spostrzeżenia na ten temat. Treść odpowiedzi jest wzięta z obserwacji i z własnych przemyśleń. Najprzód stwierdzam, że ludność wiejska, zwłaszcza młodzież, w okolicach mnie osobiście znanych czyta niemało. Ale wybór lektury jest najczęściej przypadkowy. Poza jednostkami i szczupłymi zespołami, mało kto czyta planowo. Jeszcze robię uwagę o tym, że nawet ludzie lubiący czytać, nie objawiają chęci kupowania książek w proporcji do ich chęci czytania. Nie w każdym wypadku można by tu mówić o przyczynach ekonomicznych tego stanu rzeczy. Po prostu szerokie rzesze naszych niży społecznych nie odczuwają jeszcze tęsknoty za takim umeblowaniem pokoju, gdzie największą może ozdobą byłaby ładna szafa z porządnymi książkami. Na to trzeba pewnego czasu. Ale po tych wstępnych dygresjach, mówmy o rzeczywiście niemałej rzeszy tych co czytają.

Więc co ta czytająca wieś czyta? i co chciałaby ona czytać? Ja ze swych obserwacji i z osobistych przemyśleń stwierdzam co następuje: Znajome mi otoczenie czytających ludzi wiejskich pod względem beletrystyki czyta przeważnie utwory pisarzy starszych. Zaznaczam, że będę mówił tylko o oddziaływaniu literatury pięknej stojącej na pewnym poziomie. Literaturę t. zw. straganową wykluczam z mych rozważań. Zresztą ja osobiście w mej okolicy nie widziałem prawie żadnej konsumcji tego typu „literatury". Czytany jest powszechnie lubiany Sienkiewicz. Jedna 23-letnia osoba zaznajomiwszy się po raz pierwszy z „Kądzielą" Rodziewiczówny, mówi przy staraniu się o nową powieść: „Przede wszystkim, dajcie mi Rodziewiczównę". Psychologicznie ciekawe sądy słyszałem o Mniszkównie; z „Trędowatej" i „Ordynata", każdy i każda trochę kpi, ale każdy czyta".

Na wsi, o ile mi wiadomo, nie miała i nie ma wzięcia literatura, a la Przybyszewski i jemu podobni. Np. kilkanaście lat już czytam, mieszkam stale na wsi, tkwię wprost po uszy w środowisku, i naprawdę nie wiem czym widział choć z 5-ciu czytelników tego typu literatury. Naturalnie, nie mówię o różnego typu ludziach, którzy na wsi mieszkają, ale pod kategorię chłopa nie można ich podciągnąć, tylko o autentycznych chłopach. Często oprócz Sienkiewicza, Rodziewiczówny, Żeromskiego, którzy może są najpopularniejsi, spotyka się lekturę Prusa, Kraszewskiego, Londona, Undset, Wiktora, Kossak-Szczuckiej. Znałem zwłaszcza czytelniczki, które lekturę np. „Krystyny, córki Lawransa", przeżywały, jako wielkie przeżycie duchowe, a te same osoby mimo całego uwielbienia dla Żeromskiego, przyjmowały go dość krytycznie. Orientacyjnie przedstawiam spis lektury 20-letniego chłopca w r. 1943-1944 (okres zimowy, częściowo letni). Zaznaczam, że nie jest to z lektury autora — autor liczy 38 lat. A więc Rodziewiczówna — Dewajtis, Pożary i Zgliszcza. Hamsun — Błogosławieństwo ziemi. Żeromski — Walka z szatanem, Wierna rzeka. Szełochow — Zaorany ugór. Strug — Żółty krzyż 3 tomy. Szczucka — Bez oręża. Morcinek — Wyrąbany chodnik. Reymont — Pęknięty dzwon. Dygasiński — W Swojczy. Berent — Nurt. London — Serce kobiety. Makuszyński — ze trzy pozycje. Trylogię zna już od 15 roku życia.

Właśnie ta lektura jest oceniana, krytykowana i czytana w dużych kręgach czytelniczych. Jeden drugiemu ciągle pożycza. Tylko drogi takiej książki i znalezienie czytelnika są dość zawiłe. Połowa zagadnienia, to sprawa zorganizowania czytelnictwa i rozumna akcja biblioteczna. Bo powtarzam, od chęci czytania do chęci posiadania własnego księgozbioru jeszcze jest na ogół dość daleko. Pracując w nie jednej okolicy, mogę stwierdzić, że o ile chodzi o znane mi lepiej t. zw. województwa Centralne i o Poznańskie, to z pewnym odchyleniem na korzyść Poznańskiego, sytuacja czytelnictwa na wsi jest dość jednolita. Nie znam dobrze stosunków w Małopolsce, ani na wschodnich terenach kraju, więc tam nie mogę wydać opinii. Bo to co pisze, to jest li tylko z tego co osobiście widzę i słyszę i czynny biorę udział.

Teraz oddaję głos sobie samemu.

Jaką bym chciał mieć teraźniejszą powieść?

Dzisiejsza, powojenna rzeczywistość, czasy wojny i okupacji, są zagadnieniami tak zróżnicowanymi, że wcale się nie dziwię, iż „literatura daje się wyprzedzać życiu".

Pisarza o pewnym poczuciu odpowiedzialności, przeraża wprost ogrom zadania jakie przed nim stoi. I w ogóle mierny talent nie odtworzy nam tej epoki. Mogą się zdarzać dobre fragmentaryczne szkice, ale całość taka jaką ja sobie wyobrażam, to nie jest sprawa łatwa. Więc powieść — taka pierwszorzędna powojenna powieść powinna to być — powieść - epopea. Powinna objąć w swej treści różnorodne środowiska społeczeństwa a nawet przeniknąć do środowiska wrogiego swą akcją i postaciami. W fabułę powinny być włączone i wielkie zdarzenia dziejowe 1939—1945 r. Byłaby to powieść zarazem historyczna i współczesna. Zdaje mi się, że nie potrzebowałby autor wiele fantazjować, gdy się oprze na rzeczywistości tych lat. Przechodziła ona nieraz bardzo bujną fantazję. (Nikoniecznie tylko martyrologiowa rzeczywistość). Ta moja powieść w zasadzie przedstawiałaby się jako powieść nie dla młodzieży, i nie reportaż, i nie publicystyka, i nie specjalnie środowiskowo-społeczna itp., ale jako powieść, obrazująca przeżycia całego narodu, jego konspirację, męczeństwo, na szerokim tle zdarzeń dziejowych i powojennych przeobrażeń układu społecznego kraju.

Mimo, że jestem chłop ze wsi, nie rzucam tego projektu mej przyszłej powieści w ten sposób, aby ona przedstawiała tylko ludzi i środowisko wiejskie. Wyraźnie stoję na stanowisku ogólnonarodowym. Sądzę, że jakiś duży talent odczuwałby to jako skrępowanie i taka powieść nie byłaby powieścią tego typu o jakim ja myślę. Moja powieść powinna uwzględniać przede wszystkim ten historyczny moment przełomowości naszych czasów, to kruszenie się starych form bytowania społecznego i krystalizowanie się nowych form, tą rozdrożność charakterów ludzkich. Powinna mimo współczesności odznaczać się głębokim spojrzeniem w historyczno - społeczne procesy ludzkości i swego narodu. Życzyłbym sobie widzieć w takiej powieści-eposie wykazanie (o ile w ogóle można to wykazać) tej wielkiej ofiary krwi i cierpienia, które ponosi ludzkość i psychologiczne zadumanie; „za co i dla czego". Dialogi mej powieści, osoby musiałyby więc mieć dużą rozmaitość. Nie życzyłbym sobie, aby ta „moja" powieść była pewnego rodzaju traktatem, ani tego, aby wszystko kończyło się dobrze, ale uważam, że po lekturze tej powieści, czytelnik powinien odnieść wrażenie poważnego zadumania się nad sobą i nad światem, bez beznadziejnego pesymizmu. Nie chcę powieści hurra-patriotycznej, ani chłopskiej, ani robotniczej, ani reakcyjnej, ani postępowej. Chcę mieć powieść w pełnym tego słowa znaczeniu o człowieku - Polaku, o Polsce i o świecie, nie wyłączając wrogów, w epoce 1939—1946 r.

Jacy powinni być bohaterowie mych powieści i z jakich środowisk pochodzić? Charakter „mej" powieści wymaga, aby czołowi bohaterzy byli ludźmi o wybitnej inteligencji i o zdolnościach psychologiczno- analitycznych. Sądzę, że dzisiejsza rzeczywistość aż się prosi o uwiecznienie piórem artysty-pisarza typów heroizmu naj większego i siły woli, jak i typów najgorszego zezwierzęcania ludzkości.

Muszą je tylko wprost z życia przenieść na papier. Zagadnienia erotyczne (w powieści zwykle nieodzowne) powinny mieć miejsce, ale nie powinny być traktowane pierwszoplanowo w akcji, choć mogą być ukrytą sprężyną poczynań i zamiarów kogoś z osób powieści. Bez świętoszkowatości, ale i broń Boże bez pornografii. Bohaterowie powieści powinni przedstawiać sobą różne środowiska społeczne. Nawet wzajemnie sobie wrogie.

Taka powieść z natury rzeczy musiałaby się oprzeć i na osobistych przeżyciach i zwłaszcza przemyśleniach wybitnie inteligentnego autora, na przestudiowaniu wielkiej ilości literatury historyczno-społecznej i na nawiązywaniu i wstrzymywaniu kontaktów z szeregiem jednostek i zespołów, które odgrywały więcej niż zwykłą rolę w tym olbrzymim procesie dziejowym. Akcja (fabuła) powinna się odbywać w Polsce — nawiązywać do walk emigracyjnych, obejmować konspirację, a przede wszystkim powinna wykazywać tę nieuniknioną w procesie dziejowym zmianę stosunków społecznych. Ale broń Boże, nie demagogicznie, tylko jako wynik nieuchronny sił dziejowych. Co do środowiska i miejsca fabuły, to już z charakteru powieści wynika, że powinno być środowisko wsi i miasta uwzględnione. Tak w znaczeniu geograficznym, jak głównych warstw społecznych te ośrodki zaludniających. Gehenna Warszawy, ghetta, obozów, powinna się odzwierciadlić w tej powieści. Jak również i triumf słusznej sprawy — gruzy Berlina. Sądzę, że taką powieść nie łatwo jest napisać. Bo względnie łatwo byłoby napisać powieść — kronikę, ale bardzo trudno — dzieło sztuki.

Język takiego utworu nie powinien być „że tak powiem" — „przesłodzony". Powinien być język opanowany, bez naleciałości gwarowych, ale nie wulgarno-prostacki. Raczej więcej język epika niżli liryka.

Sądzę, że gdyby jaki autor polski zabrał się do napisania tego typu powieści, to zapewne musiałby to być i wielki realista życiowy i wybitny intelekt. Nie było by mu z autopsji obce życie różnych warstw społecznych, musiałby być człowiekiem o dużej wiedzy i mieć głębokie poczucie odpowiedzialności za to co pisze. Na samym sobie doświadczyłby skutków niewoli. Intuicja moja mówi mi, że pisarzy podobnego typu jest bardzo mało.

Uważam, że dzieło takie, o ile osiągnęłoby wyżyny prawdziwego artyzmu, stałoby się nieprzemijającym wkładem w literaturę ogólno-narodową, a tym samym i ogólno-ludzką. Jego doniosłość społeczna byłaby bardzo wielka. Naród zostałby przedstawiony w najtragiczniejszym momencie swej dotychczasowej historii i w wejściu na nową rolę dziejową.

Środowisko czytelnicze łaknie wprost tego upewnienia; czy procesy dziejowe, które ta wojna wywołała i przyśpieszyła, są już nieodwracalne, czy też to tylko zwyczajny chaos powojenny.

Chciałbym żeby mnie zrozumiano, że mnóstwo ludzi łaknie tej prawdy, podanej przekonywująco. Chciałbym, żeby „moja" powieść dopomogła chwiejnym, bojącym się jutra, krytykującym(!) „wczoraj", a bezradnym „dzisiaj", że reforma nie tylko rolna, ale i reforma światopoglądowa jest nieuniknioną koniecznością, że wolność kosztuje morze krwi i łez, i że — jak ta wojna wykazała — ostateczne zwycięstwo jest nie w brutalnej przemocy, ale w wartościach heroizmu, i ofiary dla najwyższych celów ludzkości, którymi są — pokój i sprawiedliwość. Więc czekam, kto z pisarzy polskich taką powieść napisze.

Henryk Biłka (Sucha k/Żywca):

Konkurs na temat czytelnictwa na wsi bardzo mnie zaciekawił i po prostu — ze względu na ważność zagadnienia — zmusił do wzięcia w nim udziału w nadziei, że może spostrzeżenia i uwagi moje przyczynią się choć w małej części do tak ważkiego dzisiaj dzieła, jak podniesienie kulturalne i materialne wsi polskiej. Moje spostrzeżenia i uwagi dotyczą przede wszystkim wsi podgórskiej w Żywieczczyźnie, bowiem z tej wsi pochodzę i na niej się wychowałem. Wieś w ogóle, a w szczególności wieś podgórską poznałem dobrze prawie pod każdym względem.

Ze wszystkich bowiem spraw wsi, ja widzę dwie najwyraźniejsze; potrzebę oświaty, a co za nią idzie — higieny oraz podniesienia materialnego. Nigdy wieś nie podniesie się kulturalnie, dopóki przedtem — choć częściowo nie podniesie się materialnie. Wsie podgórskie na całym Podhalu i Podbeskidziu znajdują się wprost w krytycznym położeniu materialnym. Struktura demograficzna chociażby takiej Żywieczczyzny wykazuje ogromne rozdrobnienie gospodarstw rolnych, czego nie uzupełni nawet częściowo reforma rolna, z powodu przeludnienia ogromnego. A chłop podgórski niechętnie opuszcza swoje ubogie gospodarstwo rolne w zamian za dostatek na zachodzie. Przed wojną dużo drobnych gospodarzy opuściło Żywieczczyznę i osadziło się w Poznańskiem. W czasie wojny musieli pod naciskiem hitleryzmu, ciężko. — nie lekko urządzone, swe gospodarstwa opuścić. Stracili na tym prawie wszystko. Dzisiaj się boją, że ich to samo spotka kiedyś. Klepią więc biedę dalej, narzekając — Bóg wie — na kogo i na co, że jest źle. Trudno. Oświata tutaj nie wkroczyła jeszcze. Powodem tego — przede wszystkim — nędza.

Dobrobyt na wsi powoduje automatycznie podnoszenie się oświaty. Przykłady tego mamy wszędzie tam, gdzie wkroczył dobrobyt. W czasie okupacji pracowałem w okolicy Krosna na Podkarpaciu. Tu gdzie przemysł naftowy dał wsi zarobek, widzimy wsie, w których są biblioteki, stowarzyszenia, czytelnie, domy oświatowe. Domy mieszkalne — czyste, pięknie i gustownie umeblowane i ludzie mówią językiem literackim, a także wygląd zewnętrzny mieszkańców i ich zachowanie się nie różnią się niczym od miasta. A uświadomienie społeczne nie narzucone, ale u każdego wypływa z samopoczucia obywatelskiego.

Wieś, którą choć pobieżnie mam scharakteryzować pod względem czytelnictwa, to wieś w powiecie żywieckim, częściowo w powiatach: wadowickim, nowotarskim i myślenickim województwa krakowskiego.

Powyższe uwagi na wstępie do odpowiedzi konkursowych rzucam dlatego, by tę wieś, daleko jeszcze stojącą od innych pod względem kulturalnym, usprawiedliwić brakiem materialnym. Uwagi moje podzielę na dwie części: co czyta wieś i jakiej książki potrzebuje.

I. CO WIEŚ CZYTA?

Książka literacka, jako coś pożytecznego, powiem śmiało — na wsi nie istnieje. Są tylko jednostki, które taką książkę cenią. Prawie w 98 proc. wieś książkę literacką uważa za coś w rodzaju rozrywki dla zabicia czasu w spędzane prawie bezczynnie dni i wieczory zimowe. Czyta się wszystko, co się rozumie i potrafi przeczytać. co ciekawi i wzrusza, choćby to było bez wartości, za wyjątkiem oczywiście książek antyreligijnych. Jeżeli chodzi o beletrystykę, to aby coś przeczytać, musi to być opowieść sensacyjna: o zbójach, złodziejach, pełna przygód powieść, czy też przygody różnych bohaterów, których losy zawikłane kończą się happy endem, a zło powinno być pokonane przez dobro. Nie wybiera się tutaj autora, wydawnictwa, czy treści. Ktoś, kogo taka książka wzruszyła i posiada pewną pamięć (co się rzadko zdarza w niewyćwiczonych mózgach) — będzie treść potem opowiadał innym. Ale to wszystko nie jest niczym ważnym, ot tak sobie.

Czytanie takie nikomu korzyści nie przynosi. Książkę naukową mniej się czyta, chyba, że jest bardzo prosto napisana i ciekawie, a opisująca znane zdarzenie historyczne.

Kto czyta książkę? Ten, kto już „bywał w świecie", czyli wyszedł za opłotki swojego podwórka. Rzadko tutaj ktoś czyta Orkana, Reymonta, Wiktora, czy Sienkiewicza. Prosta rzecz: biblioteka na wsi rzadko (TSL, KSM), a książki na wsi nikt nie kupuje obecnie — i przed wojną nie kupował. Na karty, które są prawie w każdym domu, i na wypitek pieniądz — o jakże często i przy podartych spodniach — się znajdzie. Na książkę — byłoby to wyrzuceniem pieniędzy w błoto. To smutne, a jednak prawdziwe. Książka skądś pożyczona — nie jest szanowana, a ten ktoś pożyczający też później książki nie pożyczy z oba-

DZISIEJSZA WIEŚ?*)

wy przed zniszczeniem. Książka poważna literacka jest mało rozumiana. Książka opisująca życie chłopa — gwarą czy językiem literackim — o tyle czytana jest ciekawo, o ile zawiera coś nienormalnego z ogólnego życia wsi.

Z pisarzy wspomnianych — najlepiej by się jeszcze przyjął Sienkiewicz, mówiąc o wyjątkach lubiących czytać. Poezje nowoczesne nie są rozumiane i tych nikt nie czyta. Wierszyki proste — skowronkowe, w rodzaju Jantka z Bugaja — owszem. Poezje Mickiewicza: „Pan Tadeusz", ballady spotyka się nawet często.

Ten ogólny, lakoniczny przegląd czytelnictwa wystarczy tu, jeśli się zważy, że wieś, o której piszę, rzadko posiada — szczególniej w okresie przedwojennym posiadała — szkoły siedmioklasowe; przeważnie jednoklasówki i dwuklasówki z czterema oddziałami, do których z niechęcią posyłało się dziecko, a dla którego myślą było — i jest jeszcze — jak najszybciej się z tej szkoły wyrwać. W szkole takiej dziecko nie nauczy się czytać i rozumieć poważniejszej książki — ba, nienawidzi jej. Dzieci takie nie mają w domu rodzicielskim żadnej zachęty do czytania i nauki, z nich też nie wyrośnie kulturalna wieś.

II. JAKIEJ KSIĄŻKI WIEŚ POTRZEBUJE?

Chociaż konkurs mówi „jakiej powieści **chce** dzisiejsza wieś" — chodzi o beletrystykę — ja jednak zaryzykuję powiedzieć: jakiej **potrzebuje**? Bo — jeśli chodzi o wieś, którą przedstawiam — wieś ta chce to czytać, co czyta. A czy to doprowadzi do podniesienia kultury? — wątpię. Wieś — jak dziecko — dla zabawki bierze i brzytwę, czyli, że jej chce. Chce się bawić byle czym, bo nie rozumuje. Może ktoś mnie posądzić o obrazę wsi; ktoś z działaczy może? Nie obrażę tych, którzy już wyszli z tego „dzieciństwa", lecz mówię o tych, którzy jeszcze na punkcie poznawania literatury są dziećmi i nie wiedzą czego chcą. Jednak fakt, że chcą, to już ma swoje znaczenie. Jeżeli nam bowiem zależy, by to „dziecko" nie tylko się bawiło, ale się wychowywało dla dobra Narodu i Państwa, — musimy przełamać to niewłaściwe chcenie i pokierować odpowiednio czytelniczymi zachciankami wsi.

Jak to zrobić? Tego nie dokona się przymusem, bo wieś — dziecko jest kapryśne i uparte — lecz systematyczną i umiejętną pracą wychowawczą. Rzucić na wieś odpowiednie książki. Posłać tam działaczy znających psychikę i potrzebę kulturalną wsi, którzy za pomocą konkursów dobrego czytania i objaśniania czytelnictwa i literatury wskażą odpowiednie powieści. I tu działacz taki spotka się z przeszkodą. Będzie nią np. tłumaczenie się czytelników, że tego i tego nie rozumieją, że to nie ciekawe, że brak czasu, bo bieda i trzeba cały dzień od świtu do zmroku pracować itp. O, tu właśnie: bieda! Dać bezpłatnie książkę i żeby jej nikt nie czytał? Tak. W zimie — owszem, w lecie — nie! Na wsi nie ma ośmiogodzinnego dnia pracy. Tu działacz musi wziąć pod uwagę brak czasu na wsi. Zatem wchodzi tu zagadnienie przyjścia z pomocą materialną wsi, która ciężko i prawie od świtu do zmroku pracuje, a na oświatę nie ma czasu. Gdyby chłop przy ośmiogodzinnym dniu pracy zarobił na wyżywienie rodziny, to by i na czytanie dostarczonych mu powieści część dnia poświęcił. Prawda, że rolnictwo, to nie przemysł. Mówię tu o zarobku przy mniejszym zużywaniu czasu, do czego by można doprowadzić wieś dopiero z czasem, odpowiednio zaprowadzoną gospodarką na wsi za pomocą odpowiednich narzędzi rolniczych i umiejętnej pracy, oraz przy zaprowadzeniu dających się urządzić na wsi zakładów przemysłowych, gdzie małorolny chłop miałby zarobek uboczny.

Przy dzisiejszych warunkach materialnych ludu, praca oświatowa na wsi jest bardzo trudna. Trzeba pionierów do tego. Oczywiście wszystkich podanym sposobem od razu się nie uświadomi, ale wyłowi chętne i zdolne jednostki, które w swoim ośrodku doprowadzą dzieło do końca.

Te uwagi nie są wyczerpujące, ale je rzuciłem, jakby na marginesie konkursu, dla ewentualnego przedyskutowania. Sam bowiem z mojej pracy oświatowej na wsi mam duże doświadczenie i jeśli czas mi pozwoli i przyda się to komuś, spiszę te doświadczenia osobno.

Moim zdaniem, wsi trzeba dać książkę w formie powieściowej o temacie piętnującym błędy złej gospodarki na wsi. a wskazującym drogą oświaty lepszą przyszłość rolnika. Powieść taka musi być bardzo umiejętnie napisana, by zbytnio nie krytykować błędów, lecz wskazywać ich szkodliwość; akcja musi być ciekawą, by zajęła umysły nie przyzwyczajone do głębszego rozumowania. Treść: człowiek tracący wiele przez nieumiejętną pracę, a jako przeciwstawienie: człowiek walczący z ciemnotą — zwycięski.

Powieść o temacie politycznym — owszem, lecz umiarkowana. Tutejsza ludność jest wielce zrażona do polityki, ponieważ przed wojną różni demagodzy obiecujący biednemu rolnikowi złote góry, a dbający tylko o swoje egoistyczne, materialne cele, wypaczyli zdrową, rzuconą tutaj przez śp. ks. Stojałowskiego myśl polityczną.

Potrzebna również jest powieść historyczna, bardzo przystępnie napisana, powieść, w której treść trzeba wpleść historię chłopów; dalej powieść o tendencji geograficzno - historycznej, której treścią byłyby początki historii Polski, z podkreśleniem odwiecznych walk Słowian z germanizmem i walk o polskie ziemie nad Odrą i Nysą.

Może jednak najważniejszą byłaby tutaj powieść o tendencji społecznej bardzo aktualnej dzisiaj, która by wskazywała drogę do poprawy bytu wsi. No i ostatecznie powieść o ciekawej i [illegible]ystępnej treści z życia ogólnoludzkiego w sensie moralnym.

Pragnę tutaj dodać, że w podanych tematach nie należy zaczepiać księży ani religii, bo cały wysiłek pisarza pójdzie na marne. Wieś jest silnie tkwiąca — nawet posunięta aż do zabobonu — w religijności. Nic dziwnego: jedyną prawie dotąd łącznością ze światem ludu był kościół i słowa księdza, który (i dotąd) jest na wsi przewodnikiem dusz. Prędzej przez współpracę religijną doprowadzimy wieś do kultury, niż przez politykę. Przykładem tego może być Lisków, gdzie ksiądz, nie dbający tylko o swe często materialne cele, stara się śladami Chrystusa poświęcić w pracy nad polepszeniem bytu biednej ludności wsi, na której może odegrać przeogromną rolę, jako ten, który tę wieś duchowo prowadzi.

Taka powieść poparta odpowiednią propagandą potrzebna jest wsi i — śmiem twierdzić taką powieść wieś przyjmie z otwartymi rękami.

Stanisław Sarama (Łódź):

Wypowiedzi moje na temat „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś" nie są tylko moimi osobistymi przekonaniami czy poglądami w tej dziedzinie. W dziedzinie czytelnictwa na wsi zrobiłem już dość dawno pewne spostrzeżenie, ponieważ sprawa ta interesowała i w dalszym ciągu interesuje mnie żywo. W czasie okupacji byłem w tym szczęśliwym położeniu, iż dysponowałem dosyć znaczną liczbą książek własnych; cała więc młodzież mojej wsi, a nie rzadko i starsi zaglądali do mnie by sobie pożyczyć „coś do czytania". Nie tylko zresztą pożyczali. Każdą niemal przeczytaną książkę szeroko omawialiśmy, miałem więc możność wysłuchania wypowiedzi ludzi stojących na różnych stopniach rozwoju intelektualnego na temat jednej i tej samej powieści. Mogłem więc sobie pozwolić na przeprowadzenie pewnych doświadczeń. Mam więc szczerą nadzieję, że moja odpowiedź na konkurs dopomoże Redakcji w „wypełnieniu zamówienia społecznego" — przynajmniej jeżeli chodzi o wieś podmiejską, do jakiej odnoszą się moje uwagi.

W wywodach moich nie brałem pod uwagę jednostek specjalnie wykształconych, mających na przykład wykształcenie wyższe, lub specjalne, lecz szeroki ogół, zwłaszcza młodzież wiejską.

Podstawą moich rozważań jest twierdzenie, że czytelnikowi wiejskiemu nie można dać do ręki jakiejkolwiek powieści. Chłop w tym wypadku gruntownie różni się od czytelnika pochodzącego z miasta, od czytelnika, który w większości wypadków bierze do ręki książkę tylko dla zabicia czasu, dla pewnej przyjemności, czy odpoczynku po pracy, a nazajutrz o niej zapomina. Chłop każdy z reguły nad książką pracuje; chłop każdą przeczytaną powieść przeżywa, długi czas po przeczytaniu jej myśli na tematy w niej poruszone, przyswaja ją sobie, może wolniej od czytelnika miejskiego, ale tym trwalej. I może właśnie to jest główną przyczyną, że wieś ilościowo czyta mniej od miasta.

I dlatego właśnie, że książka na wsi spełnia o wiele większą rolę wychowawczą niż ta sama w mieście i wziąwszy pod uwagę również, że chłop nie zawsze ma odpowiednie przygotowanie, a w większości wypadków nie ma mu kto wskazać trafnego podejścia, nie ma mu kto wytłumaczyć niezrozumiałych dlań zagadnień, dlatego właśnie, raz jeszcze podkreślam, chłopu nie wolno podsunąć jakiejkolwiek powieści, jeżeli naturalnie nie chcemy naruszyć jego w zasadzie zdrowego światopoglądu.

Ważną więc rzeczą jest, aby stworzyć zbiór powieści przeznaczonych dla wsi, aby odpowiednie książki włożyć chłopu w rękę.

Moim zdaniem książka dla wsi musi odpowiadać jednemu podstawowemu założeniu: niekoniecznie musi być o chłopach, ale koniecznie dla chłopa. Dla przykładu podam Reymonta „Chłopi" — zdawałoby się, że powieść ta, tak wiernie fotografująca życie na wsi przy końcu ubiegłego stulecia, tak ważne i zawsze żywe dla wsi problemy poruszająca, napisana tak prostym i pięknym językiem, powinna sobie zdobyć szczery poklask czytelników ze środowiska wiejskiego. Tymczasem zaobserwowałem coś wręcz przeciwnego. Powieść ta nie znajduje wielbicieli na wsi. Nie jest pisana dla wsi. Natomiast można to powiedzieć o powieściach Orkana, czy Wiktora, jeżeli już sięgnę do starszej literatury. Jak się okazuje nie wystarcza spędzić na wsi kilka miesięcy, czy nawet lat, aby być zrozumiałym przez wieś. Trzeba z tego środowiska wyjść, trzeba patrzeć oczami wsi, słyszeć uszami wsi, trzeba myśleć kategoriami wsi.

Powiedziałem — książka nie koniecznie o chłopach, ale dla chłopów — to jest główne moje założenie. Nie koniecznie o chłopach; przeciętnego czytelnika ze wsi interesuje wszystko: z równym zainteresowaniem czytał będzie powieść opisującą życie jego środowiska, a więc wsi, jak powieść z życia np. górników, czy osnutą na tle wyprawy międzyplanetarnej. Bezwzględnie najżywiej zareaguje na powieść o nim samym. Najbardziej zaciekawi go historia rozwoju materialnego, kulturalnego czy politycznego wsi. Damy mu do ręki cykl powieści obrazujących rzeczywiste życie wsi w rozwoju dziejowym, z uwzględnieniem wszystkich zmian i przeobrażeń, jakie przechodziła wieś od czasów najdawniejszych do dni dzisiejszych. Dajmy poznać chłopu jaką siłę i potęgę posiada element wiejski w naszych warunkach. Dalej — wskażmy mu jakie niewyzyskane skarby — talenty niszczeją wśród naszych wiejskich chat, wskażmy mu jak te talenty należy rozwijać, jak stworzyć dla nich odpowiednie warunki rozwoju i jakie z tego korzyści wyciągnie wieś. Wskażmy chłopu zdobycze cywilizacji i nauki; nauczmy go korzystać z nich; udowodnijmy mu, że koszta np. przeprowadzenia linii elektrycznej do jego wsi stokroć mu się z biegiem czasu opłacą. Pokażmy mu na przykładzie życie wsi nowoczesnej, korzystającej ze wszelkich zdobyczy techniki. Niech nasza wieś wyjdzie wreszcie ze swego przysłowiowego błota, spod historycznych słomianych strzech. Niech powieść będzie dla niego podręcznikiem udoskonalonej uprawy roli, hodowli bydła i drobiu, warzywnictwa, niech mu wskaże dobrodziejstwa i korzyści wypływające z założenia w jego wsi spółdzielni.

Lecz chłopa interesuje nie tylko życie jego gromady — on chce wiedzieć również jak wyglądają prace Organizacji Narodów Zjednoczonych, chce wiedzieć, jak żyją ludzie w skwarnej Afryce, czy jakie są najnowsze, najświeższe zdobycze nauki. Trzeba jednak jedno wziąć pod uwagę. Chłop bierze zwykle książkę z pełną wiarą. Wierzy święcie w to, co tam jest napisane. Nie można dopuścić do tego, aby ta wiara znikła, jeżeli książka na wsi ma w dalszym ciągu pełnić funkcje wychowawcze. Dlatego należy fantazji autorskiej nałożyć pewne granice. Wieś jest zbyt pozytywnie nastawiona do życia, aby powieści mniej lub więcej zmyślone mogły znaleźć miejsce do wegetacji na tym gruncie.

Jeszcze jedna uwaga w związku z powieściami z okresu okupacji. Moim zdaniem nie nadszedł jeszcze czas na powieści tego rodzaju. Bo jeśli zechcemy takie powieści zaliczyć do współczesnych, to damy się wyprzedzić rzeczywistości. Okupacja — to już zamknięty i miniony dla nas okres historyczny. Weszliśmy już w inną fazę rozwoju naszej państwowości, w fazę przebudowy i odbudowy. Nie możemy natomiast odłożyć okresu okupacji do historii; na to jeszcze za wcześnie. Zresztą przeciętny czytelnik, który zwykle sam wiele przeszedł w tym okresie pięcioletniej niewoli, niechętnie bierze dziś do ręki opisy okrucieństw niemieckich, czy męki Polaków. Zbyt żywo w naszych umysłach żyje jeszcze pamięć tych strasznych dni. Rany jeszcze się nie zabliźniły i przypominanie męki narodowej okresu okupacji byłoby rozdrapywaniem niezabliźnionych ran. Za kilka czy kilkadziesiąt lat powieść tego rodzaju będzie się napewno cieszyć powodzeniem; dziś jednak męczą one raczej czytelnika.

Wreszcie ostatnia uwaga. Okupant celowo starał się zniszczyć moralne wartości naszego społeczeństwa i w wielkim stopniu udało mu się to, zwłaszcza jeżeli chodzi o młodzież. Zresztą każdy okres wojny pociąga za sobą upadek moralny w większym stopniu tych ludzi, którzy w tym okresie dojrzewają. Otóż ważnym zadaniem nowych powieści, powieści dla wsi będzie naprawa naszego młodego społeczeństwa wiejskiego pod względem etycznym. Jest to ważna dziedzina, bodaj że najważniejsza, odbudowy naszego społeczeństwa, dziedzina, w której niestety do dziś zrobiono bardzo mało, odważę się powiedzieć, że nic. Wskażmy młodzieży wiejskiej zdrowy stosunek ich do społeczeństwa, do państwa, do innych współobywateli; nauczmy ją cenić i szanować pewne wartości, odbudujmy przede wszystkim poczucie człowieczeństwa, nauczmy młodzież pewnej dyscypliny społecznej.

Oto są najważniejsze wytyczne dzisiejszej, drowej powieści dla wsi. Moim zresztą zdaniem nie tyle ważnym jest zagadnienie jakiej powieści chce dzisiejsza wieś, ile zagadnienie jaką powieść mamy dzisiejszej wsi dać.

---

*) Drukujemy dalszy ciąg wypowiedzi uczestników naszego konkursu „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?". Wypowiedzi Józefa Bieńka, Adolfa Kotarby i Antoniego Szmigularza drukowane były w poprzednim (1/80) n-rze „Wsi".

(Red.)

Władysław Błachut

Dookoła sprawy czytelnictwa na wsi

Tak się złożyło, że w Nrze 49 (77) „Wsi" ogłoszono wyniki konkursu na temat: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś" a równocześnie Piotr Stanisław Ziarnik zamieścił doskonały artykuł p.t. „Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś", przy czym — dodam nawiasem — tytuł artykułu nie odpowiada ciekawie i szeroko zakrojonemu tematowi.

Celem konkursu rozpisanego przez Redakcję „Wsi" było — jak przypuszczam — wysondowanie opinii nielicznych konsumentów słowa drukowanego spośród rzesz chłopskich oraz uzyskanie wypowiedzi inteligencji ze wsią związanej lub ze wsi się wywodzącej na temat, jaki rodzaj powieści miałby zapewnioną poczytność i powodzenie literackie w tej dziś dla słowa drukowanego obojętnej masie obywateli. W chwili pisania tego artykułu nie znam poszczególnych wypowiedzi uczestników konkursu, ale nie ulega wątpliwości, że wypowiedzi będą ciekawe i wniosą m. in. wiele konkretnych materiałów i wniosków dla rozbudowy zaniedbanego czytelnictwa na wsi.

Wydaje mi się bowiem, że istota zagadnienia nie leży w sprecyzowaniu upodobań i postulatów przyszłych czytelników wiejskich pod adresem twórców literatury pięknej, popularnej i fachowej, ale w tej chwili ogranicza się do omówienia praktycznych założeń zwiększenia czytelnictwa na wsi, zjednania konsumentów słowa drukowanego wśród starszego pokolenia i młodzieży chłopskiej. Dlatego też zamieszczenie artykułu ob. P. S. Ziarnika, omawiającego wnikliwie i wyczerpująco przyczyny już nie rozwoju, ale zaniku czytelnictwa na wsi, przed publikowaniem wypowiedzi na temat jakiej powieści chce dzisiejsza wieś, uważam za nadzwyczaj ważne i celowe.

Dla uważnego obserwatora stosunków kulturalnych na wsi problem czytelnictwa wśród chłopów przedstawia się istotnie groźnie i niepokojąco. O ile w okresie międzywojennym można było zaobserwować wśród zorganizowanej społecznie młodzieży wiejskiej duży pęd do oświaty, wyrażający się m. in. czytaniem w różny sposób zdobywanych książek i to nie tylko powieści ale także poezji (zdawało się, że „Pan Tadeusz" jednak zabłądzi pod strzechy...) — o tyle obecnie — jak słusznie zauważa ob. P. S. Ziarnik — wskutek demoralizujących wpływów okresu okupacyjnego zainteresowania młodzieży wiejskiej idą w innym, mniej wzniosłym kierunku...

Po pierwszej wojnie światowej, w pierwszym okresie naszej wolności, młodzież wiejska z godnym podkreślenia zapałem rzuciła się na słowo pisane. Książka zachowana w ocalałych bibliotekach wiejskich (czytelnie ludowe itp.) wyproszona u proboszcza, wikarego, nauczyciela (niestety znacznie rzadziej we dworze) lub kolportowana na wieś przez uczącą się w mieście młodzież chłopską, szybko krążyła z rąk do rąk a w okresie jesienno - zimowym nie było prawie domu, gdzie ktoś z członków rodziny w kręgu zakopconej lampy naftowej nie ślęczałby nad książką, kalendarzem lub gazetą. Sam jako dziesięcioletni chłopak, pasając szarpiące się na powrozie po wąskich miedzach krowiny, przeczytałem jednym tchem i bez wyboru całą Trylogię, Robinzona, Don Kichota i wiele innych, nie zawsze zrozumiałych powieści i poematów. A takich młodych „bibliofilów" było w tym czasie na wsi więcej! Dziś młodzież wiejska w wieku szkolnym poza szkołą prawie nie czyta, a zanik czytelnictwa (za wyjątkiem gazet) wśród dorastających i dorosłych jest zjawiskiem notorycznym.

Gdzie szukać przyczyn zjawiska zmniejszającej się konsumcji słowa drukowanego wśród chłopów? Uważam, że niezależnie od przyczyn opisanych przez ob. P. S. Ziarnika w cytowanym na wstępie artykule, zanik czytelnictwa na wsi jest prostą konsekwencją zaniku książki w środowisku chłopskim. Jest rzeczą stwierdzoną, że książka, która w okresie międzywojennym już zdobywała sobie stałe miejsce w chłopskiej chacie, a nadto znajdowała schronienie i opiekę w środowisku inteligenckim na wsi, dziś stała się na wsi białym krukiem a już bardzo nieśmiało i z ociąganiem się zagląda pod chłopską strzechę. Niszczył ją systematycznie okupant, chronił w nieodpowiednim miejscu lub wywoził do miasta inteligent wiejski a wreszcie upływ czasu robił swoje. Jedynie biblioteki dworskie zachowały się częściowo do końca okupacji i niezmiernie żałować należy, że i one w rozwoju wypadków wojennych oraz przemian społecznych na wsi w większości wypadków straciły swą świetną choć prawie wyłącznie szlachecką egzystencję.

W chaosie idących przez wieś wydarzeń, chłop wyrównywał swe wiekowe krzywdy na pańskim przez podział ziemi dworskiej oraz inwentarza żywego. O książce jakoś zapomniał i tym samym skazał ją na zagładę.

Po opuszczoną sięgnął element niepowołany dla celów dalekich od jej właściwego przeznaczenia, część wywiózł do miasta dawny właściciel majątku lub przygodny szabrownik.

Toteż dziś księgozbiory publiczne na wsi świecą pustkami a nieliczne biblioteczki prywatne rzuconej na wieś inteligencji z powodu drożyzny książek są pieczołowicie trzymane w ukryciu, dla własnych potrzeb czy przyjemności i nie znajdują drogi na budzącą się do życia wieś.

W tej sytuacji odbudowa zanikającego na wsi czytelnictwa bez rychłej interwencji czynników odpowiedzialnych za rozwój kultury wsi byłaby rzeczą nader trudną i musiała by być rozłożoną na długie lata.

Pomoc i interwencja czynników publicznych w procesach odrodzenia i rozwoju czytelnictwa na wsi wyrazi się najlepiej przez rychłe i obfite dostarczenie odpowiedniej i przystępnej (o ile możności — jakże znowu słusznie zauważa ob. Z. — nie tendencyjnej i propagandowej) literatury na wieś oraz przez stworzenie stałych ośrodków czytelnictwa na wsi.

Do tych samych konkluzji dochodzi autor cytowanego przeze mnie na wstępie artykułu. Ponieważ jednak ob. Z. lojalnie przyznaje, że nie wie, jak wyglądają plany biblioteczne i sieć projektowanych bibliotek pragnę tę lukę w jego artykule wypełnić i przedstawić pokrótce rządowe poczynania a raczej plany w tym przedmiocie.

Otóż z dniem 18 czerwca 1946 r. wszedł w życie, a więc obowiązuje, Dekret (z mocą ustawy) Prezydium Krajowej Rady Narodowej z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi (v. Dz. U. R. P. Nr 26, poz. 163).

W myśl tego Dekretu biblioteki i zbiory biblioteczne będące własnością lub znajdujące sie w posiadaniu obywateli polskich uznaje się — jakże słusznie — za narodowe mienie kulturalne, powołane do służenia dobru ogólnemu. Celem prowadzenia w społeczeństwie jednolitej działalności kulturalnej za pomocą książki i biblioteki oraz umożliwienia każdemu obywatelowi korzystania ze zbiorów bibliotecznych całego kraju Dekret przewiduje w art. 2 utworzenie ogólnokrajowej sieci bibliotek publicznych, utrzymywanych przez Państwo lub inne związki publiczno - prawne. Dekret w trosce o rozwój kulturalny jak najszerszych warstw Narodu, idzie tak daleko, że przewiduje włączenie do sieci bibliotek publicznych również zbiorów i bibliotek prywatnych i to nawet bez zgody ich właścicieli choć za odpowiednią odpłatą. Biblioteki włączane do sieci bibliotek publicznych mają służyć dobru i pożytkowi publicznemu, a to przez gromadzenie, zabezpieczenie i udostępnienie swych zbiorów bezpośrednio lub drogą między bibliotecznego wypożyczania (rodzaj bibliotek wędrownych).

Naczelny nadzór i opiekę nad bibliotekami ma sprawować Minister Oświaty, który też ma wydać przepisy wykonawcze w tym kierunku, ale jak dotąd jeszcze ich niestety — nie wydał. Organem doradczym a równocześnie reprezentacją czynnika społecznego przy Ministrze Oświaty ma być Państwowa Rada Biblioteczna, której odpowiednikiem w terenie mają być wojewódzkie, powiatowe i gminne (wiejskie i miejskie) komitety biblioteczne przy wojewódzkich, powiatowych, i miejskich radach narodowych.

Interesujące wieś gminne komitety biblioteczne mają być powoływane przez Gminne Rady Narodowe na wniosek inspektora szkolnego spośród:

a) miejscowych stowarzyszeń oświatowych (o ile takie na wsi istnieją),

b) miejscowych organizacji zawodowych nauczycielskich,

c) przedstawicieli bibliotek działających na terenie gminy wiejskiej (zwykle ich nie ma!),

d) miejscowych organizacji rolniczych.

Do zakresu tych komitetów należy:

1) opiekowanie się bibliotekami powszechnymi i szkolnymi oraz — co nas najwięcej interesuje — rozwojem czytelnictwa na terenie gminy,

2) harmonizowanie działalności bibliotek! (w liczbie mnogiej, kiedyż dojdziemy do tego na wsi!) i dbanie o zaspokojenie potrzeb społeczeństwa w zakresie słowa drukowanego,

3) opiniowanie budżetu na potrzeby bibliotek i czytelnictwa na terenie gminy.

Te zadania i obowiązki wiejskich komitetów bibliotecznych są — jak widać — zakrojone szeroko i mają odpowiadać istotnym potrzebom dzisiejszej wsi.

Działalność komitetów bibliotecznych, będzie przejawiać się na zewnątrz przez sieć bibliotek publicznych. Ustawa biblioteczna przewiduje trzy rodzaje bibliotek a mianowicie: biblioteki szkolne, powszechne i naukowe. Interesujące najbardziej wieś biblioteki powszechne mają w myśl postanowień Dekretu służyć czytelnictwu w najszerszym zakresie, wychowaniu społecznemu, kształceniu ogólnemu i zawodowemu oraz kulturalnej rozrywce wszystkich obywateli, zamieszkałych na terenie gminy czy gromady. Dla wykonywania tych zadań każda wiejska biblioteka powszechna powinna posiadać księgozbiór dla dorosłych, odrębny (jakże daleka przed nami droga...) księgozbiór dla młodzieży i dzieci oraz czytelnię zaopatrzoną w czasopisma bieżące!

Między poszczególnymi bibliotekami winna panować ścisła współpraca a w szczególności biblioteki wyższego rzędu mają zasilać biblioteki wiejskie w księgozbiory i wydawnictwa (wymiana książek i wydawnictw) a także gromadzić dokumenty piśmiennictwa ludowego z dawnego terenu.

Do zakładania i utrzymywania publicznych bibliotek powszechnych obowiązane są właściwe związki samorządowe, przy czym istniejąca samorządowa biblioteka publiczna może być zawieszona w swej działalności lub zwinięta jedynie za zgodą Ministra Oświaty, powziętą w porozumieniu z Ministrem Administracji Publicznej. Coroczne świadczenia Państwa na rzecz samorządowych bibliotek publicznych mają wynosić conajmniej (oby znacznie więcej) 25 proc. łącznych rocznych wydatków wszystkich związków samorządowych, poniesionych na zakładanie i utrzymywanie bibliotek publicznych w kraju.

Do czasu zorganizowania pełnej sieci bibliotek publicznych funkcje tych biliotek mają spełniać na zarządzenie Ministra Oświaty, przystosowane do tego celu biblioteki szkolne (niestety na wsi i takich nie ma) przede wszystkim przez udostępnienie swoich księgozbiorów wszystkim obywatelom danego terenu. Z tych samych względów Minister Oświaty może włączyć czasowo do sieci bibliotek publicznych również istniejące już biblioteki społeczne lub prywatne. Szczególnie ważnym jest to końcowe postanowienie Dekretu o bibliotekach, które mówi, że do czasu zapewnienia związkom samorządowym dostatecznych własnych źródeł dochodowych wydatki na zakładanie nowych bibliotek samorządowych oraz ich utrzymanie pokrywać będzie Skarb Państwa w formie specjalnej dotacji dla tych związków.

Tyle mówi Dekret o bibliotekach. Jest on — jak widzimy — opracowany szeroko i wyczerpująco, ale — o ile chodzi o wieś — pozostaje on jeszcze dotąd w sferze papierowych projektów.

Nie wiem czy związki samorządowe otrzymują już przewidziane (w art. 15 ust. 4) dotacje ze Skarbu Państwa na zakładanie i utrzymywanie wiejskich bibliotek, ale mogę stwierdzić jedno, że książka trzyma się jeszcze zdala od rejonów wiejskich a istniejące (jakże rzadko) szafy biblioteczne w domach ludowych na wsi świecą pustkami lub służą za podręczne bufety i przechowalnie napojów wyskokowych przy okazji zwykle zanadto mokrych zabaw i uroczystości ludowych na wsi. W dzisiejszej sytuacji żądny słowa drukowanego mieszkaniec wsi musi — o ile go nie stać kupić własnej książki — prosić księdza lub nauczyciela o pozwolenie korzystania z ich skromnych i dlatego jakże poczytnych księgozbiorów! Kto z tej drogi nie chce korzystać (a na wsi ambicje są wybujałe) ten musi zapomnieć o książce i ograniczyć się w najlepszym razie do lektury wędrującej na wieś prasy ludowej, której poziom, niestety, tak dużo pozostawia do życzenia. Tymczasem nawet w naszym położeniu wiele można by zdziałać w przedmiocie ożywienia czytelnictwa na odcinku wiejskim. Przede wszystkim w opustoszałych lub nienależycie wykorzystanych dworach możnaby znaleźć odpowiednie pomieszczenie dla bibliotek wiejskich i czyteln ludowych. Równocześnie już dziś dałoby się skompletować na wsi skromne księgozbiory z książek znajdujących się w posiadniu poszczególnych mieszkańców wsi a także drogą ofiar inteligencji ze wsią dziś związanej lub ze wsi się wywodzącej. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że i sam chłop nie poskąpiłby na ten cel grosza.

Chodziłoby jedynie o to, aby wreszcie inicjatywę pod tym względem wziął w swe ręce Rząd i zgodnie z założeniami omówionego tu przeze mnie pokrótce Dekretu przystąpił do organizacji sieci bibliotek publicznych na terenie **calego** Państwa. Przede wszystkim chodzi tu o zagwarantowaną ustawowo pomoc finansową, bo bez pieniędzy nic nie da się zrobić.

Jestem pewny, że gdy znajdą się pieniądze na ten cel i biblioteki powszechne rozpoczną na wsi swą działalność, słowo drukowane szybko znajdzie wśród chłopów, zwłaszcza wśród młodzieży wiejskiej, opuszczającej szkołę powszechną, wdzięcznych konsumentów a książka zawędruje wreszcie pod chłopską strzechę.

Bronisław Majtczak

Na wyrobku

Jak wichrem pogięte drzewa nad polem
stopami w ziemię wrośli i pracą.
Wczesnego świtania witają fiolet
ostrzami motyk, nożem kopaczek.

By strząsnąć pot z karku i ziemi popiół
stają na chwilę, prostują grzbiety,
a potem — znów dalej kopią i kopią...
za żur w dwojakach, za pajdę biedy.

Gromadnie stanęli w zagonach cudzych
jedyni ludzie polnej roboty — —
Obdarci dworacy, fornale, słudzy,
bunt dzierżą w dłoniach, na drzewcach motyk...

Na anioł pański gdzieś dzwonią kościoły,
pola skopane chłód dnia przenika —
a oni wciąż kopią.... Spocone czoła
zmierzch im ociera mgłą października.

Teodor Goździkiewicz

Książki o walkach na obczyźnie

Arkady Fiedler: „Dywizjon 303“ — „Dziękuję ci, kapitanie“ (Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, Kraków 1946); **Kazimierz Koźniewski: „Szczotka do butów“**, reportaż-powieść; **Janusz Meissner: „Żądło Genowefy“ — „L jak Lucy“** (Księgarnia Wydawnicza AWIR, Katowice, 1946); **Ksawery Pruszyński: „Droga wiodła przez Narvik“** (Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza“, Warszawa).

Naszą tragedią dziejową od kilku stuleci jest to, że w dziedzinie zbrojnej gotowości narodu jesteśmy stale zapóźnieni. Ćwiczonym wojskom zaciężnym przeciwnika mogliśmy przeciwstawić zbieraninę pospolitego ruszenia. Armii stałej uzbrojonej jednolicie w karabiny — barwną kawalerię w półpancerzach i przy szablach. W roku 1939 byliśmy uzbrojeni na modłę anno domini 1914.

Taki stan rzeczy trwał w dziedzinie materialnej. Nierównie bardziej zapóźnieni byliśmy w dziedzinie moralnej. Walkę zawsze braliśmy jako pochodną od czasownika walczyć, a nie walić. Stąd to podejście do wojny cokolwiek rycerskie, cokolwiek romantyczne — ciągle niepraktyczne i niepraktykowane. Marzył nam się front, walka pozycyjna opukiwana z karabinów i dział, tudzież zagony kawaleryjskie à la Kmicic na głębokie tyły nieprzyjaciela.

Tymczasem zdarzenia z września 1939 nie były wojną, ani walką — były masakrą wojska, państwa, narodu, o potem nadeszła makabryczna noc okupacji, konspiracji, łapanek, obozów, rozstrzeliwań, głodu i luksusu, egoizmu i poświęcenia, bestialstwa, świństw i bohaterstwa. Wszystko to zastało nas nieprzygotowanych, oszołomionych, sterroryzowanych, niewierzących nawet w to, co było oczywiste, albowiem był to koszmar nieprawdopodobny.

Na tym tle również nieprawdopodobne wydały nam się wszelkie wieści nadchodzące z dalekiego świata drogą tajemną (szmatławce i gadzinówki nigdy o tym konsekwentnie nie pisały, pierwszy raz wymieniono nazwisko Sikorskiego po jego tragicznej śmierci) o oddziałach polskiego wojska walczących w wielu miejscach globu na lądzie, morzu i powietrzu przy boku alianckich wojsk.

Nie wierzyło się w to — właściwie niedowierzało się potrochu kładąc wiele na karb wybujałej propagandy mającej służyć „pokrzepieniu serc“. Czyżby to było bowiem możliwe, żeby gdzieś żołnierz polski mógł przeciwstawić szybkiemu i kąśliwemu samolotowi równie kąśliwy i szybki samolot, opancerzonemu czołgowi czołg opancerzony, uzbrojonemu okrętowi — okręt?

Bo że odwagę i poświęcenie miał, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wszak i tu chłopiec w biały dzień z pistoletem w ręku wypełniał ciężkie zadanie bojowca na oczach wojska, żandarmerii i policji.

* * *

To nieprawdopodobieństwo owych zjawisk, ta niewiara w rzekomo odbywające się daleko wypadki sprawiły, że bezpośrednie świadectwo owych walk — **Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303“** czytany był nie jak zwyczajna książka napisana na pewien temat, ale jak ewengelia, książka niosąca dobrą nowinę. Wartość je była poza dokumentem, poza treścią i poza formą. Wartość „Dywizjonu 303“ wkraczała w dziedzinę mistyki. Można by tu na tym miejscu wpaść w patos i wygłosić cały szereg podniosłych zdań i nie uważać tego za coś, co może razić.

W moje ręce „Dywizjon 303“ dostał się gdzieś w roku 1943 (bodajże?) zamaskowany sprytnie nazwiskiem Marii Karczewskiej, tytułem o chowie kur czy uprawie warzyw, kilkoma kartkami obojętnej treści, a potem dopiero zaczyna się opowieść o walkach, zwycięstwach — lotach i trudach.

Okazało się, że w sferach powietrznych nad lądem czy wodą wolnego kraju Anglii nasz walczący lotnik przeciwstawiał kamiennemu poczuciu ponurego obowiązku Niemca, radosną pogardę śmierci i mściwą pasję żołnierza zelżonego narodu.

Obecne nowe wydanie „Dywizjonu 303“ leżące przede mną jest już nie tym samym zjawiskiem, nie tym samym zdarzeniem. Jest to książka zawierająca kilkanaście świetnych reportaży i opowiadań z walk lotniczych o Anglię w 1940 roku. I nic więcej. Fotografie ją formalnie i treściowo bogacą, przejmują radością odkryte pseudonimy, kryptonimy i cała ta nomenklatura półspiskowa, za którą się chowali poszczególni lotnicy, ale to już nie to samo, co owa drobnymi czcionkami drukowana i czytana na strychu z biciem serca i łzą w oku roku pańskiego 1943.

* * *

Kiedy się myśli, mówi czy pisze o morzu i jego sprawach staje mimowolnie w świadomości olbrzymia postać nieśmiertelnego żeglarza — nie, wszystko to co dziś moglibyśmy nazwać kompleksem Conrada. Człowiek i morze. Morze — zmienne i wiecznie to samo. Człowiek niby jego niewolnik i pan, sługa i zwycięzca i to zwycięzca zdruzgotany przez nie wtedy, kiedy uświadomił sobie swoje nad nim panowanie.

W zbiorze kilkunastu opowiadań zatytułowanych **„Dziękuję ci, kapitanie“ Arkady Fiedler** wystąpił w nowej roli — marynisty. W swoich wynurzeniach pisarskich zostawia ślady, iż zdaje sobie sprawę z tego, że operuje w cieniu Conradowskiego dorobku. Wszędzie tam, gdzie schodzi z płaszczyzny notowania faktów zewnętrznymh a usiłuje sięgnąć do zdarzeń, któreby można nazwać filozofią współżycia morza z człowiekiem — zawsze lojalnie przyznaje się do wielkiego patrona: „Była w tym wielka bezbronność, beznadziejność i okrucieństwo losu i czasem miało się wrażenie, jak gdyby zmartwychwstał któryś z tragicznych bohaterów Conrada i żywy obnosił swą dolę po świecie“ (str. 11). „...wielki pisarz i żeglarz, Słowianin, oddający morzu od nowa odwieczną jego duszę, Józef Conrad Korzeniowski, stał się jakby objawieniem“ (str . 88). „...Kiedyś Conrad powiedział, że statki mają zawsze słuszność, a ludzie nie zawsze“ (str. 140).

Fragmetny te zostały przytoczone nie w celu czynienia jakichś paraleli czy wynajdywania pokrewieństw, ile raczej na dowód, że ktokolwiek pisze dziś o morzu, zawsze natknie się na Conrada. Opowiadania zawierają rejestr czynów marynarzy polskich, którzy rzuceni na burzliwe wody oceanu Atlantyckiego, ujawniają wspaniałę postawę bojowców.

Książka posiada wszystkie cechy pisarskie Fidlera. Gładkość stylu i prostotę środków wysłowienia. Z tym wszystkim właśnie stanowi miłą „krzepiącą“ lekturę.

* * *

Powieść **Kazimierza Koźniewskiego — „Szczotka do butów“** już jak sam charakter tytulu wskazuje jest książką napisaną w kpiarsko - groteskowym, a według treści w awanturniczo - patriotycznym tonie. Autor przez cały ciąg powieści utrzymał się na tym poziomie konsekwentnie, szczęśliwie uniknął płaczliwości, kaznodziejstwa i taniej deklamacji, dając pracę w swoim rodzaju ciekawą. Prawdziwie „przekrojowatą“.

Wszystko w tej książce jest względne, narzucone śmiesznym zbiegiem okoliczności, w partiach poważnych samych przez się przedstawione od strony groteskowej. Jest to heroizm odbarwiony z nimbu, groza tragicznych zdarzeń podana na wesoło. Bohater utworu, warszawiak, zaplątany przypadkowo w ulicznej strzelaninie między konspiracyjnych bojowców, ucieka z kraju w początkach okupacji i dzieli trudy i przygody tych wszystkich naszych żołnierzy walczących na obczyźnie.

Przejmując od towarzysza ucieczki szczotkę do butów jest przekonany, iż w szczotce tej zawarte jest *coś*, jakiś kospiracyjny talizman. Pilnuje więc jej jak oka w głowie przez cały ciąg wszystkich swoich niewiarygodnych przygód. Cały ten wysiłek po to był jednak przedsiębrany, żeby się w końcu przekonać, iż rzekomo ważna szczotka do butów jest najzwyczajniejszą szczotką i nie zawiera w sobie nic a nic zgoła. Wszystkie więc jego wysiłki, trudy i przygody i gra ze śmiercią o życie były jakimś okrutnym żartem, głupim nieporozumieniem. Jego bohaterskie wysiłki były przedsięwzięciem dokonanym w imię ułudnych i urojonych celów. Czy nie jest to symbolicznym wykpieniem naszych walk w świecie wogóle?

Tej rzeczy można się najwyżej domyślać. Natomiast w innej sprawie symbolizm autora powieści jest przez samego niego należycie wyjaśniony. Oto równorzędnie do dziejów bohatera głównego Koźniewski kreśli dzieje volksdeutscha, niemieckiego szpicla rodem z poznańskiego. Szpieg ten w każdej nowej miejscowości przybiera nowe nazwisko. Tymczasem „.... prawdziwe jego nazwisko było znacznie wybitniejsze od jego osoby. Linia łącząca wielkiego pradziada z niewielkim prawnukiem — była linią degrengolady Niemiec, była symbolem rozmienienia wielkich wartości na podłe walory. Była historią Niemiec ostatnich dwóch stuleci. Mój przyjaciel bowiem na chrzcie świętym otrzymał dwa imiona: Johann Wolfgang. Nazwisko rodowe brzmiało — Goethe. Major Johann Wolfgang Goethe“.

* * *

W dwóch powieściach lotniczych: **„Żądło Genowefy“ i „L jak Lucy“ Janusz Meissner** zawarł dzieje naszych rycerzy przestworza na wolnej ziemi brytyjskiej. Tak się zdawało, że kto, jak kto, ale Meissner przedewszystkim jest predestynowany do kroniki lotniczej z tej wojny.

On właśnie, który podbił serca młodzieży i szerokiej czytającej publiczności swoimi pracami przed wojną, był powołany do tego zadania sub specie artis. Oczekiwań tych Meissner nie zawiódł. Dał nam dwie książki ciekawe w swoim guście, zawierające w treści sumę tych samych co i poprzednie walorów: gładką narrację, lekkie słowo i zajmującą treść.

W tym stanie rzeczy niespodzianką był właśnie konkurencyjny „Dywizjon 303“ Arkadego Fiedlera. Nam tu pod okupacją, nieświadomym co się dzieje z jednym czy z drugim pisarzem, dziwnym się to wydało, że o naszych lotnikach na zachodzie nie pisze Meissner lecz Fiedler. Skłonni byliśmy przypuszczać, że coś się stało, coś się musiało Meissnerowi przygodzić. O to przecież nie było trudno.

Jedno drugiemu jednak nie przeszkadza — dziś mając te dwie rzeczy przed sobą możemy orzec. Fiedler w swoich reportażach przedstawia męski obowiązek walki bohaterów — powieść Meissnera raczej brawurowe wyczyny sportowców wprzągniętych w walkę o kraj.

Te dwa aspekty jednego zasadniczo zagadnienia — przygód lotników polskich na zachodzie — dają obu książkom różne barwy oraz inny klimat podyktowany osobowością pisarza.

* * *

Ktoś powiedział, że wojna jest najlepszym nauczycielem geografii. To prawda — głuche niesłychanie kąty, nieznane ziemskie dziury, o których wepchanie do podręcznika, żeby je potem wepchnąć do głowy uczniów, nie śniło się żadnemu, najbardziej pedantycznemu belfrowi geografii — utwierdzają się w pamięci człowieka raz na zawsze.

Jeszcze świeżo w pamięci siedziały Verdun, Bolimów czy Ypres z tamtej wojny, a już przyszły nowe: Narvik, Tobruk, El Alamein.

I ktoby pomyślał, że tam, gdzie dotychczas śledzie tylko wyprawowały miłosne harce lub brudny tuareg zbierał bobki wielbłądzie na ogień — tam dotknie się ziemi swoim palcem Historia? Tak się jednak stało i na to nie ma rady. Wielkość zdarzeń chodzi — jak kot z książki Kiplinga — własnymi po świecie drogami.

Osnuta na tle walk Anglików z Niemcami w Norwegii powieść **Ksawerego Pruszyńskiego** pt. **„Droga wiodła przez Narvik“** jest rejestrem wkładu bojowego polskiego korpusu współdziałającego z armią angielską w ogólnych ramach operacyjnych. Bohaterem tego opowiadania jest właśnie owa grupa żołnierska Polaków, a jej dzieje fabułą książki.

Ktoś może zapytać, dlaczego Narvik? Otóż ląd wydłużonej Norwegii w tym miejscu jest najwęższy. Tuż zaraz poza granicą w Szwecji leżą bogate złoża wysokowartościowej rudy żelaznej (magnetytu). Elektryczne kolejki tunelami przewoziły ją wprost do portu narvickiego, a stąd szła ona do hut i walcowni niemieckich, gdzie wyrabiano płyty pancerne do wszelkich pancerników, czołgów i samolotów.

Anglii to nie mogło być obojętne, kiedy Niemcy zabrali w kwietniu 1940 Norwegię i stąd ekspedycja. Akcja kończy się zdobyciem Narviku i wysadzeniem w powietrze tunelów kolei.

W powieści tej są wyraźne momenty, gdzie Pruszyński publicysta bierze wyraźną górę nad Pruszyńskim powieściopisarzem. Kompozycja powieści jest swobodna. Są miejsca, gdzie Pruszyński posługuje się zwykłą tradycyjną relacją. W innych rozdziałach przytacza fragmenty pamiętnika. Gdzie indziej punkt ciężkości zdarzeń przenosi na osoby trzeciorzędne. Są też *przytaczane meldunki sytuacyjne dowódców*. Ta dowolność techniczno - kompozycyjna czyni książkę barwną i zajmującą, jeśli pominąć te dłużyzny publicystyczne, wtłoczone w dialogi *i będące* najsłabszymi punktami powieści.

Byłyby one bardziej na miejscu w tymże pamiętniku, który jako forma wypowiedzi zezwala na najsubtelniejsze dyscypliny refleksyjne — po cóż zaraz strącony lotnik niemiecki, po co szpital, po co nieprzekonywujące spotkanie dwu kolegów z jednej szkoły w Grenobli? Wymieniają oni między sobą bardzo interesujące uwagi, ale przez ich wielkość formalna równowaga powieści jest zwichnięta.

Poza tym książka jest emocjonująca, miła i warta czytania.

* * *

Głównym tenorem tych wszystkich książek jest — poprzez zobrazowanie walk w różnych miejscach i czasie — przekonać polskiego czytelnika zgnębionego niedawną okupacją, że tam gdzie mogliśmy nieprzyjacielowi przeciwstawić równorzędność środków technicznych, tam równaliśmy się z nim walorami ducha, a nawet w zestawieniu jednostkowym — górowaliśmy bardzo często.

Drugą cechą rzucającą się w oczy z literackiego ściśle punktu widzenia jest bezsprzeczny dokumentaryzm tych książek. Jest to zupełnie usprawiedliwione i zrozumiałe. Przeżycia w tej wojnie ludzi były tak fantastyczne, tak frapujące, że wszelka wymyślność pisarska była pobita na łeb na szyję. Po co więc karmić czytelników wymyślonymi bzdurami — wystarczy powtórzyć tylko to, co wiele jednostek przeżyło, a już będziemy mieli porywające powieści.

Ów dokumentaryzm czy autentyzm jest dziś świadomym patentem powstania książki. Każdy z autorów opatruje swoją pracę wyłączoną specjalnie uwagą, jakby ona być miała właśnie usprawiedliwieniem jej powstania: Fiedler — „Duch wypadków, opisanych w niniejszej książce, jest prawdziwy, natomiast osoby i statki są zmienione“. Koźniewski: „każda z markowych przygód jest albo zupełnie prawdziwa albo złożona z prawdziwych elementów... część tych przygód doświadczyłem na własnej skórze“. I t.p.

Jeżeli najwyższym miernikiem i wzorem realizmu jest proste życie, to ono właśnie stanowiło i dostarczyło argumentu, że kto trudno i dobrze przeżył dzień, jest upoważniony i może „napisać księgę“.

List do Redakcji

Do

Redakcji Tygodnika „WIEŚ“

Łódź — Polska

Szanowni Druhowie!

Przeczytałem z wielkim zainteresowaniem kilka starych numerów WSI, jakie się tu przedostały w tym roku dzięki zainstalowaniu w Brazylii placówek dyplomatycznych R. J. N. Z kierunku pisma i nazwisk autorów wnoszę, że WIEŚ jest wskrzeszeniem w nowej postaci i na szerszej platformie [illegible]nego wydawnictwa „Wsi — jej pieśni“. Gdyby tak było, to nie potrzebowałbym osobno się prezentować, gdyż Koledzy z dawnego stowarzyszenia pisarzy i poetów lud. znają moje nazwisko. Przed wojną korespondowałem ze ś. p. Jantkiem z Bugaja — a [illegible] tym jesteśmy tu blisko z Wojciechem B[illegible]wiczem, który był współzałożycielem „Wsi — jej pieśni“ zanim wyjechał do Brazylii.

Osobiście nie znam żadnego z Kolegów przebywających w Kraju, gdyż wyjechałem z Polski jeszcze w 1923-cim roku jako redaktor „Przyjaciela Ludu“ z Krakowa i od tamtej pory ani razu nie byłem w Kraju. Niektóre moje książki wydane dawno na emigracji w Stanach i w Ameryce Południowej trafiły przed wojną do biblioteki Związku w Naprawie. W Polsce nie drukowałem niczego przed wojną, gdyż dla pisarzy wychodźczych ludowych nie było wówczas miejsca na półkach księgarskich w Kraju, ani poparcia ze strony czynników oficjalnych. Liczyłem się za członka Związku przedwojennego, dopóki on istniał, co zresztą trwało dosyć krótko.

W czasie wojny napisałem kilka książek, przeważnie treści politycznej, które sprzedałem „Ameryce — Echo“, ale zanim zdążyły się ukazać w druku, wydawnictwo to przeszło w ręce redakcji uchodźczej w Stanach — i wydanie ich nie doszło do skutku. Jeden maszynopis pracy etyczno - filozoficznej p. t. „Magia w życiu codziennym“ zabrał do Londynu kol. Arkady Fiedler (który ostatnio powrócił do Kraju) — lecz tam jej nie wydał, bo treść nie była mile widziana przez sfery klerykalno - konserwatywne. Obiecywałem sobie, za powrotem do Kraju, do którego się sposobię, — wydać zbiór egzotycznych nowel ludowych z życia emigracji w Ameryce Połudn. p. t. „Baśń puszczy podzwrotnikowej“ — ale będzie trudno pozbierać w całość, jako że przeważnie były drukowane w „Amer. Echo“ na przestrzeni lat dwudziestu. Mam natomiast na ukończeniu książkę większych rozmiarów „Po tamtej stronie równika“ — wspomnienia z ubiegłego ćwierćwiecza dziejów emigracji ludowej w Ameryce Południowej. Tę chciałbym wydać z ilustracjami, za powrotem do Kraju.

Powinno by się też wydać w Polsce obecnie zbiór wierszy emigracyjnych W. Br[illegible]cza, uzupełniony tymi, które napisał podczas pobytu w Anglii, jako ochotnik W. P. z Brazylii.

Co do mnie, chcę wrócić do Ojczyzny po blisko ćwierćwiekowej tułaczce, aby dopomóc Polsce Ludowej do przeprowadzenia reemigracji *chłopsko* - robotniczej z tego terenu i popracować, póki sił starczy, na niwie społeczno - literackiej w Kraju. Być może, że, wniosę do twórczości ludowej nowy element, jakim byłaby egzotyka chłopska w literaturze, — zjawisko powstałe na emigracji w gorących krajach i bardzo mało znane czytelnikom w Polsce. Mam nadzieję, że mnie przyjmiecie również szczerym sercem, jak mnie kiedyś przyjmował do swych szczupłych szeregów związek zgrupowany przy „Wsi—jej pieśni“.

Łączę serdeczne, ludowe pozdrowienia!

WŁADYSŁAW WÓJCIK

17.12.46. Curitiba — Parana — Bra[illegible]

SPROSTOWANIA

W pracy drukarskiej niesposób jest uniknąć błędów zupełnie, ale najczęściej są to drobniejsze omyłki, nad którymi przechodzi się do porządku dziennego. W numerze jednak 1 (80) z dnia 5 stycznia 1947 r. błędy są tak znaczne, że zmuszeni jesteśmy niektóre z nich sprostować.

I tak:

na stronicy pierwszej w „Trzej królowie“ G. K. Chestertona w wierszu drugim trzeciej zwrotki powinno być:

„Droga tak prosta, że mógłbyś się zmi[illegible]

na stronicy trzeciej w „Od pasenia krów do Chestertona“ Zygmunta Jakimiaka zakończenie każdej zwrotki winno brzmieć:

„Nie dbam wcale o wodę, byle nie było [illegible]
[w wi[illegible]“;

na stronicy trzeciej w „Bylinie o zagładzie bohaterów“ w kolumnie środkowej zamiast pierwszego wiersza wydrukowanego podwójnie powinno być:

„Jak nie zbiegną się na ten zew wici[illegible],
Jak nie skoczą na siłę bisurmańską“.

W artykule Tadeusza Chróścielewskiego „Od tłumacza“, w pierwszej kolumnie 10 wiersz od góry opuszczono wyraz „znakomity“ znawca kultury ludowej profesor Julian Krzyżanowski“;

w drugiej kolumnie, wiersz 27 opuszczono **„twierdzi, że mamy tu do czynienia z dalekimi“** itd;

w trzeciej kolumnie, 20 wiersz opuszczono **„w jego szarym rybackim i rolniczym życiu nie zdarzają się „cuda, cudowiska“. Trzeba więc“** itd.;

Na stronicy 9 nazwisko autora artykułu „Literatura pod strzechą“ brzmi **Jan Marszałek.**

FAKTY i ZDANIA

„ZJAZD DEMOKRATYZACJI"

W dniach 4 i 5 stycznia b. r. odbył się w Warszawie ogólnokrajowy zjazd „Wici". Prasa nazwała go „zjazdem demokratyzacji" „Wici". Od dłuższego czasu obserwowaliśmy w tej najpotężniejszej organizacji młodzieży wiejskiej pewien ferment. Po twórczym okresie lubelskim, mimo oficjalnie głoszonej apolityczności, „Wici" stopniowo przechodzą pod wpływy działaczy prawicowych. „Wieś" niejednokrotnie podkreślała w wypowiedziach swych publicystów wątpliwe założenia ideologiczne sugerowane przez obecny Zarząd szerokiej rzeszy wiciowców. Dość wspomnieć o owych dziwnych i niepokojących mistycyzmach, o jakiejś wspólnocie i pobratymstwie słowiańskim, opartym na „sile" miłości, i „świętym ogniu" łączącym wszystkie słowiańskie narody przy jednoczesnym zapoznawaniu innych więzów, bardziej mocnych. a mianowicie więzów wspólnych interesów i wspólnych celów. Znamy bardzo dobrze te wszystkie teorie, według których pewna kombinacja właściwości fizycznych i moralnych stanowić ma o jedności i wyższości pewnej rasy nad innymi. I wiemy nad jaką przepaść doprowadzić mogą ludność podobne idee.

Ruch wiciowy ma poza sobą bardzo piękną i chlubną tradycję walki o postęp i demokrację. Z szeregów wiciowych pochodzili najwięksi bojownicy chłopscy. Gościły ich mury Brześcia, Berezy, a później Oświęcimia, Treblinki. Młodzież chłopska chce nawiązać spowrotem do pięknej tradycji radykalizmu wiciowego. Wyrazem tego dążenia był zjazd 176 starych działaczy wiciowych, który zakończył się wydaniem znanej odezwy do młodzieży chłopskiej, wzywającej ją na zjazd do Warszawy. Celem tego zjazdu nie jest, jak mówi Komunikat Komitetu Zjazdu, **„ani dążenie do rozbicia organizacji, czy tworzenia nowego związku, ani też, jak to się u pewnych kół sugeruje, osiągnięcie jakichkolwiek celów przedwyborczych. Chodzi jedynie o przeprowadzenie walki o demokratycznego ducha w „Wiciach", w myśl starych tradycji tej organizacji".**

J. I.

LITERACI KANDYDUJĄ DO SEJMU

Listy państwowe i Okręgowe Bloku Demokratycznego już ogłoszono. Z dumą przeczytałem w „Dzienniku Polskim", że czołowymi kandydatami Krakowa są: syn małorolnego chłopa spod Rzeszowa, awangardzista poeta Julian *Przyboś*, kandydat PPR-u, i sędziwa, znakomita beletrystka Zofia Nałkowska (z nadmiaru kurtuazji redaktor Balicki nie podał przynależności partyjnej Nałkowskiej). Osobliwą radość sprawiło mi ujrzenie nazwiska świetnego pamflecisty i mówcy Adama Polewki, na pierwszym miejscu w okręgu myślenickim, jak i znalezienie na liście kandydackiej w Tarnowie zapomnianego nowelisty chłopskiego, Józefa Łabuza.

U nas w Łodzi jednak jest trochę gorzej z reprezentacją literatów na listach. Nie kandydują „Kuźniczanie", choć wszyscy spodziewaliśmy się ujrzeć na plakatach w naszym mieście tak Kotta jak i Żółkiewskiego.

Z literatów chłopskich kandydują mniej więcej ci, co już mieli mandaty w RKN-nie: Kowalski, Król, Ozga-Michalski, Kubicki. Raczej wygląda na to, że wszyscy oni zostaną wybrani, choć nie będzie to łatwe, bo są nie na najlepszych miejscach.

Miejmy nadzieję, że w przyszłym sejmie zobaczymy taką ekipę literacką: Nałkowska, Przyboś, Kowalski, Kruczkowski, Polewka, Król, Kubicki, Żółkiewski (z listy państwowej), Łabuz i Ozga-Michalski.

J. ch.

POETOM LUDOWYM KU UWADZE

Na łamach „Wsi" od samego jej założenia dosyć liczna grupa poetów ludowych zamieszcza swe prace posiadające niewątpliwie poważną wartość literacko - kulturalną. Zachodzi tu jednak kwestia, którą ze względów społecznych chciałem choć w krótkości poruszyć. Mianowicie chodzi mi o sposób pisania tak, by te wartości mogły być bez trudu przyswajane przez szerokie masy ludu wiejskiego. Stwierdzić tu muszę, że zadanie to nie spełnia się w całości. Często ma się wrażenie, że poeci tytułujący się chłopskimi, zatracili bezpośrednią łączność z wsią, z której wyszli. Wskazuje na to stosowanie różnych łamańców i wyrażeń słownych, nad których zrozumieniem często nawet oczytany człowiek trudzić się musi, jak również pisanie wierszy bez treści i sensu (a są i takie, niby to wiersze pisane wysoką techniką pisarską, lecz bez wartości realnych). Jeżeli się pisze i drukuje, to chyba nie tylko dla siebie i małego grona wtajemniczonych. Tu powinno chodzić o to, by nie tylko jednostki, lecz cały ogół mógł czerpać z naszej literatury pięknej. Masy ludu powinny się podnosić w życiu kulturalnym jako całość, gdyż tylko w tym wypadku rosnąć będą duchowe siły narodu. Niechaj nikt nie myśli, że chcę, by nastąpił nawrót do tak zwanej poezji częstochowskiej czy kalwaryjskiej, bynamniej, tu nie chodzi o łatwiznę rymów, lecz o treść i sens i rozumny układ pisanych wierszy. Jako chłop, próbujący też w wolnym czasie pióra, znam dokładnie, czego wieś potrzebuje i co przyjmuje i jaką pożywką kulturalną trzeba ją karmić. Poezja, to piękno, które udzielać się winno wszystkim, tak maluczkim jak i wielkim, lecz tym pierwszym trzeba to piękno starać się przybliżyć, a nie, jak to się dzieje, oddalać go od tych, co go łakną. Wiem, że uwagi moje nie będą się podobać wielu, lecz to nie zmienia rzeczy, wszak pismo jest dla ludu, a nie odwrotnie i do tego chcąc być użytecznym w budowie kultury ludowej, trzeba się w odpowiedniej mierze przystosować.

Stanisław Paleczny

SPRAWA „NIEZROZUMIALSTWA"

Krótka wypowiedź ludowego pisarza Stanisława Palecznego ożywia zagadnienie, które było przedmiotem gwałtownych dyskusji w latach dwudziestych, a mianowicie sprawę t. zw. „niezrozumialstwa". Wtedy jednak dyskusja toczyła się wyłącznie w sferach literackich i była walką wyznawców różnych doktryn artystycznych. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna: atak na „niezrozumialstwo" podjęty zostaje w imię popularności literatury, dostępności jej dla szerokich mas nowego czytelnika. I dlatego też problem „niezrozumialstwa" należy przemyśleć na nowo: nie z punktu widzenia walki konkurencyjnej między nowatorami a tradycjonalistami literackimi, lecz z punktu widzenia społecznej roli literatury.

Rzecz jasna, że nowy czytelnik (zwłaszcza wiejski) ma duże trudności z przyswajaniem sobie utworów awangardowych, często nawet dla oczytanego inteligenta „ciężkich". Ale czy zarzut społecznej nieprzydatności wysuwany pod adresem tego rodzaju literatury jest zupełnie słuszny? Oczywiście trudno bronić *snobów sztukujących łamańcami technicznymi swoją pisarską nieporadność, ale czy w odniesieniu do prawdziwych talentów, poszukujących* ambitnie nowych dróg twórczości, atak na „niezrozumialstwo" nie będzie zarazem atakiem na rzetelne nowatorstwo artystyczne i kulturalne? Zarzuty formułować łatwo, ale ostrożność przy ich stawianiu nigdy nie zawadzi.

Może dobrze byłoby stanąć raczej na stanowisku, że czytelnikowi wiejskiemu należy dostarczyć wznowień z naszej dawnej literatury, aniżeli wymagać od pisarzy współczesnych, by stosowali się do niewyrobionych gustów czytelniczych. Takie postawienie sprawy oczywiście zagadnienia nie rozwiązuje, ale usuwa możliwości pewnych bardzo zasadniczych nieporozumień. Otwartą pozostaje nadal inna kwestia: a mianowicie czy młodzi pisarze ludowi powinni nawiązywać do utrwalonej tradycji literackiej czy też szukać natchnienia w próbach awangardy poetyckiej. Paleczny uważa zdaje się, że wszelka dyskusja na ten temat jest zbędna. Nam jednak wydaje się, że dawania odpowiedzi tak jednoznacznej jest zbyt prostym rozcięciem bardzo skomplikowanego problemu.

Dobrze byłoby, gdyby w tej sprawie zechcieli się wypowiedzieć sami pisarze. Sądzimy, że temat ten powinien ich żywo zainteresować i dlatego chętnie otworzymy łamy „Wsi" dla ewentualnej dyskusji nad zagadnieniem „niezrozumialstwa". s. I.

WSPANIAŁOMYŚLNY GEST

NOWY JORK (PAP). „New York Daily Worker" donosi, że agencja United Press, z powołaniem się na informacje z kwatery amerykańskiej we Frankfurcie podała, że amerykańskie władze okupacyjne zwolniły na „słowo honoru" pod warunkiem nie opuszczania strefy amerykańskiej około 300 hitlerowców wysokich rang, łącznie z b. członkami sztabu generalnego Niemiec i broni SS.

Akcją tą nie objęto Niemców internowanych w obozach i oczekujących postępowania denazyfikacyjnego.

Te same źródła donoszą, że około 40 wysokich oficerów niemieckich, przebywających w areszcie amerykańskim, którzy przydzieleni są do „Army Historic Division" i pomagają przy opracowaniu szczegółowych opisów poszczególnych kampanii niemieckich, otrzymało 2-tygodniowe urlopy świąteczne. Wiadomość powyższa nie ukazała się w żadnym innym dzienniku nowojorskim.

Przeciętny czytelnik czyta i nie wierzy własnym oczom: jak to, już... urlopy, już „słowo honoru"? Po kilkunastu zaledwie miesiącach od zakończenia najkrwawszej rzezi w historii świata? Dla ludzi, którzy kategorie winy mierzą kategoriami kary jest to coś co się wymyka z ram logicznego myślenia.

Wygląda na to, jakby cała sprawa Niemiec, a w szczególności ich odpowiedzialność za tę wojnę weszła na jakąś bardzo śliską ścieżkę. Coś się tu nie tak dzieje, jak by wysnuł szary, najzwyklejszy człowiek doświadczający na swojej skórze twardości niemieckiej ręki ubroczonej krwią tylu mordowanych narodowości.

Jeśli tak dalej pójdzie, to w takim razie nie powinien zadziwić nas fakt, jeśli wkrótce wręczą im do rąk palmy zwycięstwa?

Jakby dla jaskrawego przeciwstawienia zdarzeń dziejących się na zachodzie rysuje się w naszej świadomości narodowej warszawski proces hitlerowskich morderców: Fischera, Daumego, Meissingera i Leista, złych duchów naszego okupacyjnego życia.

Proces przypomina po raz wtóry wszystkie te zdarzenia, o których wiadomość ścinała krew w żyłach: Wawer, ghetta, masowe rozstrzeliwania, spalenie stolicy, niszczenie wszystkiego dorobku kulturalnego narodu.

Karę za to ponieść mogą tylko jedną — muszą zawisnąć.

Więc z jednej strony urlop świąteczny i „słowo honoru", a z drugiej kara śmierci?

A przecież ci i tamci to koledzy.

m. d.

O ŚMIERCI KADENA

Jak powszechnie wiadomo w czasie powstania Warszawskiego zginął Juliusz Kaden-Bandrowski jeden z największych powieściopisarzy okresu między wojennego. Śmierci Kadena - Bandrowskiego poświęcił obszerną literacką relację Jan Wiktor w numerze ósmym „Warszawy". Relacja ta napisana jest w formie kartek z pamiętnika (26 i 27 sierpień 1944 r.) zawierających cały szereg impresji, które zdążają do wydźwięku legendy o Kadenie.

Na tle atmosfery powstańczej Warszawy, umęczonej bombardowaniem, kreśli Wiktor postać Kadena, czarująco wesołego człowieka, który w przerwie między nalotami ujmuje miotłę, aby wraz z innymi uprzątnąć podwórze. Zbłąkany odprysk granatu w chwili ciszy rani go śmiertelnie. W relacji godzin konania i pozgonnych Wiktor wplata element opisu z elementem legendy Kadena, jako piewcy epoki zamkniętej, skończonej na zawsze.

Jednocześnie w dialogu końcowym Wiktor *uderza w tę legendę sądem realisty. „Umarł zwyczajnie, na łóżku,* (a nie na barykadach), charatnięty odłamkiem w brzuch".

Dobrze się stało, że w chwili obecnej poświęcono dłuższe wspomnienie Kadenowi, który był niewątpliwie wielkiej miary pisarzem, nie tylko na tle literatury międzywojennej, ale którego również słusznie charakteryzują następujące zdania Wiktora: „Kaden był pewnego rodzaju symbolem tego okresu, od którego społeczeństwo odwróciło się na zawsze. Życie zatrzasnęło za niesławną epoką żelazne drzwi".

p. z.

Od Redakcji

W nr 50 „Wsi" ukazała się recenzja członka naszego kolegium redakcyjnego Stefana Lichańskiego z tomu wierszy Seweryna Pollaka „Godzina życia". Na recenzję tę odpowiedział tyg. „Kuźnica", którego współpracownikiem jest p. Pollak, następującą notą:

NIEWŁAŚCIWE MIEJSCE

„Co właściwie znaczy powiedzenie takie, jak np.: X jest poetą z urodzenia? Sądzę, że mniej więcej to samo, co powiedzenie: Y jest uczciwym człowiekiem, gdyż obie te wypowiedzi są niezbyt jasne wskutek użycia terminów o treści chwiejnej i bliżej nieoznaczonej" — tymi słowami p. Stefan Lichański zaczyna recenzję z książki Seweryna Pollaka, po czym na przestrzeni całej recenzji dowodzi, że Pollak nie jest „poetą z urodzenia".

Kończy zaś recenzję tak: „Ponieważ u nas stale jeszcze panuje przewaga tendencji „natchnieniowych", „bezpośredniościowych" taką robotę poetycką jaką uprawia Pollak, należy uznać za celową i pożyteczną. Udowodnić, że wiersz można zrobić tak samo — jak np. szafę! Bez natchnień i bez używania do tego t. zw. „krwi serdecznej". To wcale nie głupi pomysł! Sugestywność wierszy Pollaka osłabia coprawda... itd".

Próbkę stylu p. Lichańskiego daliśmy celowo, żeby pokazać jak wygląda w Polsce praca recenzenta nieuczciwego, recenzenta, który fałszywe metody krytyczne łączy ze złośliwością.

P. Stefan Lichański pracuje w tyg. „Wieś", czytywanym przez młodą wiejską inteligencję. P. Stefan Lichański uchodzi w pewnych kołach literackich za „krytyka" i „znawcę" poezji. P. Stefan Lichański dobrze wie, że używane przez niego pojęcia z zakresu potocznej i domorosłej psychologii twórczości w krytyce literackiej nic nie znaczą, używa ich w cudzysłowie, a mimo to używa ich, ponieważ są mu potrzebne w zabiegu, który ma w dziennikarstwie określoną nazwę, a mianowicie nazwę insynuacji. Cała recenzja z tomu wierszy Seweryna Pollaka jest insynuacją dotyczącą psychologii twórczej poety wykorzystującą nagminny u nas w dziedzinie krytyki literackiej (nawet na katedrach historii literatury) analfabetyzm metodologiczny. Przytoczony przez nas na wstępie okres, zawierający niedokończone równanie logiczne, jest pośrednią insynuacją, że jako „poeta nie z urodzenia" — Pollak jest czymś w rodzaju nieuczciwego człowieka. Insynuacji tej nie zaciera tolerancja Lichańskiego w zakończeniu recenzji, ale ją podkreśla, będąc obliczoną na wiadomą reakcję nie orientującego się w problematyce krytycznej czytelnika.

My w stosunku do p. Lichańskiego nie zamierzamy używać narzędzi insynuacji i posługiwać się niedomówieniami. Swojego czasu wskazywaliśmy wyraźnie, jaki mają sens teoretyczne wywody p. Lichańskiego o kulturze, którymi popisywał się na łamach „Wsi". Jota w jotę to samo dziś czytamy w „agrarystycznych" pomysłach publicystów ze „Wsi i Państwa", organu PSL. P. Lichański stał się oględniejszy, przerzucił się na krytykę literacką. Na podstawie całej jego przed i powojennej pracy publicystycznej musimy stwierdzić, że pod pozorami fałszywego „obiektywizmu" zwalcza namiętnie i personalnie, z przebiegłością dobrego taktyka, wszelkimi metodami, jakie są w danej chwili wygodne, wszystkich pisarzy związanych z ruchem lewicy, których w ramach wewnętrznej cenzury własnych kolegów z tyg. „Wieś" wolno mu dosięgnąć. Miejsce p. Lichańskiego nie jest jednak w tyg. „Wieś". Jest ono w otoczeniu pp. Szczawiejów i Dzikowskich. Tylko tam, stosując podobne metody oceny literackiej, szedłby nie tylko za głosem serca, ale i dyspozycji swych mocodawców.

rdc.

(„Kuźnica", nr 51 z dn. 31.12.1946).

Treść i forma owego wystąpienia mówią za siebie wystarczająco, to też jakiekolwiek komentarze są w tym wypadku najzupełniej zbędne. Dyskusji na tym poziomie i w tym stylu prowadzić oczywiście nie zamierzamy, poprzestajemy więc na zapoznaniu opinii publicznej z metodami polemicznymi tyg. „Kuźnica".

Redakcja tygodnika „Wieś".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa „Książki"

H. C. Andersen — **Baśnie**, str. 148.

Diderot — **Kubuś fatalista i jego pan**, str. 300.

Halina Górska — **Druga brama**, str. 232

Dr F. Friedman — Tadeusz Holuj — **Oświęcim**, str. 308.

Lucyna Krzemieniecka — **O młynarzu Sylwestrze** str. 57.

Wanda Markowska — Anna Milska — **Baśnie z całego świata**, str. 178.

Poradnik rolnika — **Kalendarz na rok 1947**, str. 260.

W OSTATNIM 1 (80) NUMERZE „WSI"

z dnia 5 stycznia 1947 r.:

Jan Aleksander Król — **Miłkowszczyzna (I)**; G. K. Chesterton — **Trzej Królowie** — (przeł. Tadeusz Chróścielewski); **Bylina o zagładzie bohaterów** — **Od tłumacza**: Tadeusz Chróścielewski; Władysław Błachut — **Zmieńmy gospodarcze oblicze wsi**; Edmund Całka — **Ranek**; Zygmunt Jakimiak — **Od pasenia krów do Chestertona**; Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś: **Bieniek Józef, Adolf Kotarba, Mikołaj Szmigularz**; Zbigniew Krawczykowski — **Czy w Polsce będą traktory?** Jan Marszałek — **Literatura pod strzechą**; Witold Woroszylski — **Żniwa**; Józef Bieniek — **Na śląskim Podhalu**; Piotr Stanisław Ziarnik — **Mozaika literacka**; Włodzimierz Wnuk — **Powiedzonka góralskie**; komunikaty, ogłoszenia, 2 ilustracje, 12 stron.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś, przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII–1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Piętak Stanisław.

Komitet terenowy: Frasik Józef Andrzej, Nędza Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—